

# PRZE KRÓT

CENA 1.80 Zł

NUMER ŚWIATECZNY 558-559 \* 24 GRUDNIA 1955 ROKU

DZIŚ W NUMERZE PISZA: VIRENDRA KUMAR — JULIUSZ I LUCJAN KYDRYŃSCY — ADAM WŁODEK — ANDRZEJ KLOMINEK — IRENA KRZYWICKA — ANDRZEJ PRONASZKO — OLGIERD BUDREWICZ — ST. WROTNY — MARIA ZIENTAROWA — BRACIA ROJEK — J. L. BORGES — L. J. KERN — RYSUJĄ: ANTONI UNIECHOWSKI — JAN KAMYCZEK — DANIEL MRÓZ — JERZY SKARŻYŃSKI — ZBIGNIEW LENGREN — ERYK LIPIŃSKI — LICZNE KONKURSY Z NAGRODAMI: 4 RADIOAPARATY, 2 ZEGARKI, 2 ADAPTERY, ROWER



Kamyczek 55

ŚWIĘTA PRZYSZŁOŚCI: — Możemy już zapalić choinkę, zabłysnął pierwszy sztuczny księżyc!

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

rys. Jan Kamyczek 1955



## NA OKŁADCE tego numeru zo- baczyć możecie żarto- bliwą fantazję z przy- szłości. Przyszłość to już nie- daleka, gdyż pierwszy sztuczny księżyc — choć jeszcze nie tak duży i skomplikowany jak go przedstawił Jan Kamyczek — zacznie okrążać ziemię już za rok—dwa. Wewnątrz tego nu- meru znajdziecie zaś reporta- ż, z którego wynika, że w świat- owej rocznej produkcji tworzyw sztucznych (wszelkiego rodza- ju „plastyków“ i „nylonów“) wynoszącej 2 miliony ton — udział Polski wynosi na razie tylko 7000 ton. A poziom tej produkcji jest obecnie jednym z wskaźników zaawansowania technicznego danego państwa. Nasz przemysł chemiczny jesz- cze wystarczająco nie zaawan- sował.

A więc: oszałamiające pers-  
pektywy przyszłości — i  
skromna teraźniejszość, skrom-  
na bo obciążona całym dzie-  
dictwem przeszłości, całym  
smutnym spadkiem ruin i za-  
cofania. Na którym też kilo-  
metrze pomiędzy smutnym  
wąskotorowym samowarkiem  
wlokącym się noga za nogą,  
a rakieta pędzącą na księżyc,  
znajduje się nasza teraźniej-  
szość?

Ten dystans można mierzyć  
dwojaką miarą. Albo można  
odmierzać kilometry już prze-  
byte, porównywać to co już  
jest, z tym co było i tym co by-  
łoby, gdybyśmy od lat 11 gwał-  
townie nie przyspieszyli kroku.  
Albo można mierzyć kilome-  
try dzielące nas jeszcze od te-  
go, co chcielibyśmy mieć i co  
mają już często inni.

Długo, aż nazbyt długo uży-  
waliśmy niemal wyłącznie tej  
pierwszej miary. Nie tylko w  
ocenianiu naszej teraźniejszo-  
ści techniczno-gospodarczej.  
Także oceniając teraźniejszość  
społeczną, moralną, kultural-  
ną, używaliśmy takich kryte-  
riów, przy zastosowaniu któ-  
rych wszystko było cudowne i  
wspaniałe. Te kryteria nie są  
zresztą nieprawdziwe. Przecież  
na prawdę stoi znów odbudo-  
wana, piękniejsza Warszawa,  
naprawdę stoi Nowa Huta i  
setki nowych wielkich fabryk,  
naprawdę awansowały spo-  
łecznie i zawodowo tysiące i  
tysiące ludzi, naprawdę mło-  
dzież ma lepsze niż kiedykol-  
wiek możliwości nauki i na-  
prawdę pełniej niż kiedykol-  
wiek w historii Polski są roz-  
budzane i zaspokajane kultu-  
ralne potrzeby milionów. To  
wszystko prawda i to rzeczy-  
wiście jest wspaniałe.

Ale nie mniej prawdziwe są  
inne fakty: że nasze budowni-  
ctwo i nasza gospodarka nie  
zaspokaja wciąż wielu nawet  
bardzo podstawowych potrzeb,  
że wśród ludzi wiele jest nie-  
uczciwości, że pijaństwo, chu-  
ligaństwo, że tu bzdura, tam  
kłamstwo, gdzie indziej znów  
jakrawa nieudolność. I że to

wszystko jest ciężką kulą u no-  
gi, hamuje nas, trzyma w miej-  
scu.

No, więc to wszystko praw-  
da. Ale przez to, że bardzo dłu-  
go przywykliśmy stosować nie-  
mal wyłącznie to pierwsze  
optymistyczne kryterium („by-  
ło gorzej i byłoby gorzej gdy-  
by nie...“) teraz każde odkry-  
cie prawdy o sprawach smut-  
nych i bolesnych — przypomina  
trochę odkrycie owego  
dziecka z bajki Andersena o  
nagim królu. Niewinnych dzie-  
ciąt wołających wielkim gło-  
sem, że król nie ma kamizelki,  
że nosi staroswiecką cebulę z  
dewizką zamiast nowoczesnej  
„Omegi“, że przechodzi cięż-  
sze i lżejsze choroby — namno-  
żyło się jak grzybów po desz-  
czu. Weszło w modę stosowa-  
nie tej drugiej miary, pesymi-  
stycznej.

Jak wiadomo, mądry król z  
bajki Andersena odepchnął  
pochlebców a nagroził dzie-  
cko, które powiedziało niemiłą  
prawdę. Pięknie. Prawda w  
sensie faktów jest jedna i fak-  
tom trzeba patrzeć zawsze pro-  
sto w oczy, niezależnie od tego,  
czy są miłe czy niemiłe. Spra-  
wa komplikuje się jednak, gdy  
zacznie się oceniać całe ze-  
społy bezsprzecznie praw-

dziwych faktów. A więc odbu-  
dowana Warszawa — i odpada-  
jące kłamki oraz niegrzejące  
kaloryfery! A więc 4,5 miliona  
ton stali rocznie — i fatalne ży-  
letki. A więc setki tysięcy stu-  
diującej i uczącej się młodzieży  
— i pijaństwo, chuligaństwo,  
brak kultury. A więc wspania-  
łe teoretyczne założenia wła-  
dzy ludowej — i jakże często  
fatalna biurokratyczna prakty-  
ka aparatu administracyjnego  
czy gospodarczego. Jaka jest  
w tym zespole faktów  
miłych i niemiłych, prawda  
o punkcie, do którego doszli-  
śmy po 11 latach budowania  
podstaw socjalizmu?

Tylko zastosowanie obu miar,  
obu kryteriów wskaże punkt  
na drodze gdzieś pomiędzy lo-  
komotywą — samowarkiem a  
międzyplanetarną rakieta, ten  
punkt, w którym na prawdę  
jesteśmy. Wskaże go dokładnie  
tylko wtedy, jeśli przy tym ja-  
sno zdamy sobie sprawę z te-  
go, jaki to jest punkt wy-  
jścia, jakie możliwości dal-  
szego rozwoju stworzyło nam  
to, co już jest. Wróćmy do kon-  
kretnego przykładu: 7.000 ton  
tworzyw sztucznych rocznie  
przy światowej produkcji 2  
miliony ton — to jest bardzo  
mało. Ale jeśli się weźmie pod  
uwagę, że już stworzone zosta-  
ły u nas dosłownie z niczego  
podstawy wielkiego przemysłu  
syntezy chemicznej, wówczas  
te bardzo skromne początki  
przedstawiają się w innym, ja-  
śniejszym świetle.

To był przykład z dziedziny  
gospodarczej, ale można i trze-  
ba podobnie patrzeć także na  
inne dziedziny życia. Patrząc  
w oczy faktom takim, jakimi  
one są — ale też nie tracić  
z oczu nigdy perspektyw, które  
stwarza zdobyty już punkt  
wyjścia.

Dobrze to mówić: perspekty-

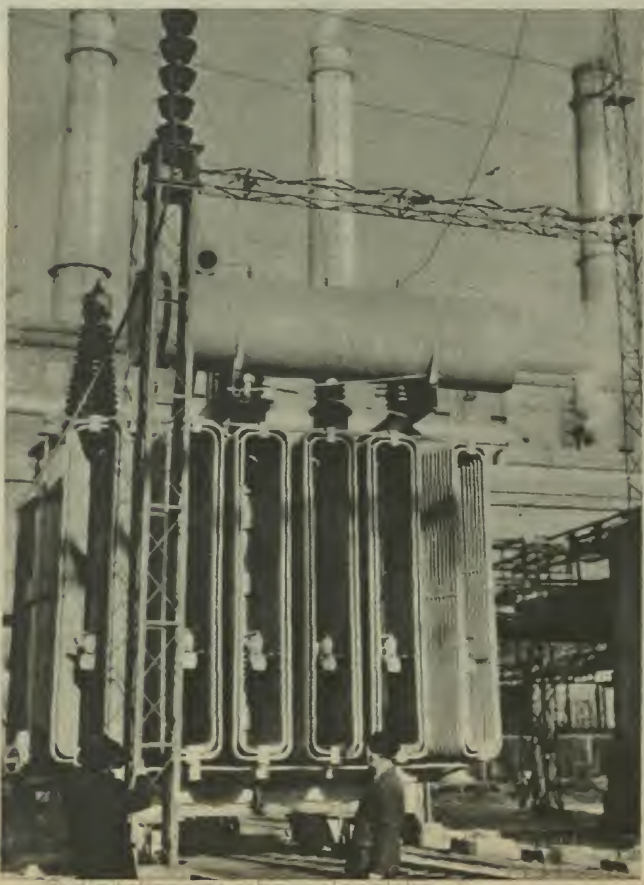
wy. Ale co robić, aby je jasno  
wszystkimi ukazać, aby naj-  
mocniej zaangażować miliony  
w świadomą pracę nad ich  
przybliżeniem? Same słowa,  
przekonywania, nawoływania  
— nie wystarczą. Dziennikarz  
wie to najlepiej... Ale dzien-  
nikarz piszący u schyłku 1955 ro-  
ku świąteczny artykuł, pragnie  
zwrócić uwagę na pewne  
charakterystyczne i ważne po-  
zycje w tegorocznym tradycyj-  
nym obrachunku. Mowa tu  
przede wszystkim o ostatniej  
uchwale KC Partii, postana-  
wiającej, że plan 5-letni będzie  
opracowywany przy szerokim  
udziale samych załóg  
zakładów pracy. Coraz więcej  
miejsc dla oddolnej in-  
icjatywy dojrzewających oby-  
watelsko mas, coraz większy  
i doskonalszy rozwój form de-  
mokratycznych w naszym ży-  
ciu — oto jest kierunek, jaki  
wskazuje ta uchwała. Ten kie-  
runek, który zwykło się — u-  
praszczać — podciągać pod  
ogólne pojęcie „po III Plenum“.  
I na tej linii kierunkowej wi-  
dać najlepiej perspektywę na-  
szej przyszłości.

No, a poza tym nie trzeba  
chyba powtarzać, że założe-  
niam naszej przyszłości jest  
pokój. Tyle razy się używa-  
ło tego słowa, ale powtarzać  
trzeba ciągle: Pokój jest spra-  
wą zasadniczą, a walka o jego  
utrzymanie sprawą pierw-  
szą. I właśnie perspektywy  
pokoju wyglądają w tej chwili  
dobrze, lepiej niż przed ro-  
kiem, dwoma i pięcioma laty.

To nie znaczy oczywiście, że  
wszystko w polityce między-  
narodowej toczy się gładko.  
Przeciwnie, niedawna konfe-  
rencia czterech ministrów w  
Genewie świadczy, jak wiele  
przeszkód i oporów nagroma-  
dziło się na drodze do rozwią-  
zania problemów międzynaro-  
dowych. Ale nawet tam, gdzie  
istnieje wciąż niezatłoczone  
sprawy ważne i niebezpieczne  
tam, gdzie ciągle daje znać o  
sobie zbankrutowana polityka  
siły i szantażu wojennego —  
widać jasno: tamta polityka  
zbankrutowała, a myśl o woj-  
nie jako środku załatwiania  
problemów międzynarodowych  
w każdym zdrowym umyśle  
została sprowadzona do absur-  
du. To także stwarza dobry  
punkt wyjścia na przyszłość.

Artykuł świąteczny jednak,  
choćby najbardziej wpłatany  
w „perspektywy“, „punkty  
wyjścia“ i „kierunki“, musi  
mówić także koniecznie i o  
choince. Zresztą Jan Kamyczek  
na okładce tego numeru jasno  
nas przekonuje, że choinka bę-  
dzie i pod sztucznym księży-  
cem. Będzie ona chyba i na sa-  
mym sztucznym księżycu (ty-  
le że może będzie z plastyku?),  
gdyż domowe ciepło, nastrój  
pogody i zadowolenia, słowem  
to co się kojarzy zwykle ze  
słowem „choinka“ — jest i bę-  
dzie zawsze człowiekowi bar-  
dzo potrzebne. Chcielibyśmy,  
aby Czytelnik tego artykułu  
doszedł do przekonania, że  
wszystkie owe suche „perspek-  
tywy“, „punkty wyjścia“ i „kie-  
runki“ wcale nie pozostają w  
jakiejś sprzeczności z „choin-  
ką“. Przeciwnie, one właśnie  
prowadzą do tego, by w osta-  
tecznym rezultacie w naszym  
życiu było jak najwięcej cie-  
pła, spokoju, pogody, zado-  
wolenia. I tego jak najser-  
deczniej w dniach Świąt  
życzy swym wszyst-  
kim Czytelnikom  
„PRZĘKRÓJ“.

ZAKOŃCZYŁA SIĘ BUDOWA SIŁOWNI JAWORZNO II —  
NAJWIĘKSZEJ INWESTYCJI ENERGETYCZNEJ PLANU 6-  
LETNIEGO. WYKONANIE TEGO PLANU STWORZYŁO MOC-  
NE PODSTAWY POD DAJSZY ROZWOJ NASZEGO KRAJU



Tekst: Andrzej Kłominek — zdjęcie: CAF (Tymiński)





Ambasador M'enszikow, Bulganin, Nehru, Chruszczow



Z córką Nehru. Inną i wiceprezydentem dr Radhakrishnan

VIRENDRA KUMAR

## KORESPONDENCJA WŁASNA „PRZEKROJU” z New Delhi

18 listopada.

**P**OGODA była wyjątkowo piękna. Ludzie w odświeżającym nastroju. Ponad 40 000 najrozmaitszych pojazdów — samochodów, wozów, furgonów zaprzężonych w woły, bryczek, wielbłądów, tysiące rowerów, nawet słonie — wszystko to zgromadziło się w Delhi, przywożąc z najdalszych okolic ludzi, żadnych widoku gości. Więcej niż milion osób — mężczyzn, kobiet i dzieci — zgromadziło się wzdłuż długiej na 12 mil drogi z portu lotniczego Palam do siedziby prezydenta. Całą trasę przejazdu przybrano festonami, chorągiewkami, flagami i długimi pasami kolorowego płótna. W różnych miejscach wzniesiono ogromne łuki, drapowane w kosztowny jedwab, złotogłów i ozdobione dywanami o kolorach tęczy. Orgie barw potęgowały baloniki i wstążki wplecione w sznury proporców, festonów i flag. Drużyny ochotników, noszących na ramieniu opaski z nadrukowanymi wizerunkami marszałka Bułganina i premiera Nehru ściskających sobie ręce, krążyły wszędzie, troszcząc się o porządek.

Punktualnie o 14.30 zahuczał nad lotniskiem „Iliuszyn 14” z czerwoną gwiazdą wymalowaną na kadłubie i na skrzydłach. Eskortowało go sześć odrzutowców Sił Powietrznych Indii. Wszyscy zadarli głowy. Po chwili samolot stał już na betonowym torze. Do drzwiczek przysunęto schodki. Tłum naokoło zafalował. A drzwiczki samolotu odsłodziły. Zastaniając oczy przed słońcem, ujrzeliśmy marszałka Bułganina w lekkim, niebieskim ubraniu, z włosami zaczesanymi do góry. Powiewając trzymanym w ręce słomkowym kapeluszem, wynurzył się z wnętrza i zszedł po schodkach. Tuż za nim postępował Chruszczow i inni.

Rozległy się okrzyki: „Bułganin, Chruszczow Zindabad!” i „Niech żyje przyjaźń ludu hinduskiego i radzieckiego!”.

Goście zamienili uścisk dłoni z wiceprezydentem, drem Radhakrishnan, premierem Jawaharlal Nehru i innymi. Ludzie naokoło tłoczyli się i potracali, aby móc lepiej widzieć. Teraz odbyło się powitanie oficjalne, hymny, przegląd gwardii honorowej. Wreszcie ujrzeliśmy znów Bułganina, idącego przodem wraz z drem Radhakrishnan, a za nim Chruszczowa ramieniem w ramieniu z Nehru, silnie klaszczących w dłonie. Wyszli na podium, aby przemówić do ludzi na lotnisku.

Gdy otwarty samochód, w którym Nehru siedział pomiędzy Bułganinem i Chruszczowem, wyruszył z lotniska, dziewczęta szkolne, znajdujące się na balkonie bramy triumfalnej, zasypały gości płatkami kwiatów.

I to był sygnał rozpoczęcia triumfalnej drogi, jaką ogląda się tylko raz w życiu. Wśród miliona dwustu tysięcy osób, które zgromadziły się na lotnisku i wzdłuż całej trasy przejazdu, byli ludzie z wszystkich warstw społecznych. Gdy mijał ich samochód wiozący gości, wszyscy wiwatowali, krzyczeli z radości, rzucali kwiaty i powiewali papierowymi chorągiewkami o barwach obu krajów. Connaught Place, wytworne centrum handlowe New Delhi, było dosłownie zasłane dywanem z kwiatów. Sławetni wirtuozi „Shahnai” (hinduski instrument dęty, na którym grywa się tylko w specjalnie radosnych okolicznościach) przybyli na

te uroczystość z Benares i Lucknow i zwracali uwagę swymi turbanami ze złotych koronek i długimi, brokatowymi surdutami. Ludzie wypuszczali baloniki z flagami Indii i ZSRR.

Miliony i miliony ludzi, którzy nie mogli przybyć do Delhi, aby powitać dostojnych gości z legendarnego kraju Rewolucji, z kraju Lenina i Stalina, Tolstoja, Czechowa, Gorkiego i Majakowskiego — te miliony słuchały komentarzy o wielkim wydarzeniu, nadawanych przez Radio Wszechindyjskie...

Zapadła noc. New Delhi zamieniło się w krainę baśni. Drzewa na Connaught Place obwieszone były różnokolorowymi światłami. Tak samo iluminowano mnóstwo innych miejsc.

19 listopada.

**B**YŁO TO pracowity dzień dla radzieckich przywódców. Wczesnym rankiem złożyli wieńce w mauzoleum Mahatmy Gandhiego w Raj Ghat, będącym świętością narodową.

Następnie udali się na zwiedzenie historycznych zabytków. Żywo interesowali się wszystkim i zadawali wiele pytań. Gdzie tylko się zjawiali, ludność witała ich z nigdy przedtem niespotykanym entuzjazmem. Tysiące ludzi czekało wzdłuż dróg, którymi mieli przejeżdżać. Potem przywódcy radzieccy zjedli lunch u premiera i wraz z nim spędzili popołudnie w Ogrodach Mongolskich przy pałacu prezydenta.

Wieczorem ponad pół miliona ludzi zgroma-

dziło się w Ramililal, aby wziąć udział w pamiętnym spotkaniu obywateli z przywódcami radzieckimi. Cały teren udekorowany był wielobarwnymi lampionami i setkami ogromnych flag Indii i ZSRR. Wesół fałujący tłum pozdrowił trzepotem chorągiewek dostojnych gości, którzy w towarzystwie premiera Indii weszli na mównicę, zbudowaną na wzór historycznej kazalnicy w świątyni Buddy w Sarnath. Czerwony latawiec z godłami Indii i ZSRR, wypuszczony przez dzieci z pobliskiej szkoły, opadał tuż przy mównicy, wywołując wielką wesołość. Przywódcy radzieccy przeszli dzieciom pozdrowienia. Nad ogromnym tłumem wzniósł się okrzyk radości.

Burmistrz Delhi ustroił radzieckich mężów stanu w girlandy z kwiatów i w imieniu obywateli ofiarował im kolaskę z kości słoniowej i takiż ekran — na pamiątkę ich pobytu w mieście. Potem nastąpiły przemówienia, których treść znacie na pewno z gazet.

Światła z krainy baśni rozświeciły ciemność, a ich odbłask unosił się nad Delhi tej nocy, znaczącej nadejście nowej ery.

Delhi, będące od niepamiętnych czasów stolicą Indii, widywało już w ciągu swych dziejów różne osobistości, ale wszystkie one przybływały po to, by ujarzmić ludność, wyzyskać ją i narzucić jej swoją własną kulturę i sposób życia. I tak — Delhi 17 razy było budowane, burzone i odbudowywane na nowo. Ludność miasta nigdy nie powstawała by powitać swych ujarzmicieci.

Ale tym razem Delhi zgotowało swym gościom wspaniałe przyjęcie. Gdy goście ci byli posłańcami pokoju i dobrej woli, przybywającymi ze sławnego kraju potężnego narodu.

Tekst i zdjęcia

VIRENDRA KUMAR  
Przetłumaczył Juliusz Kydryński

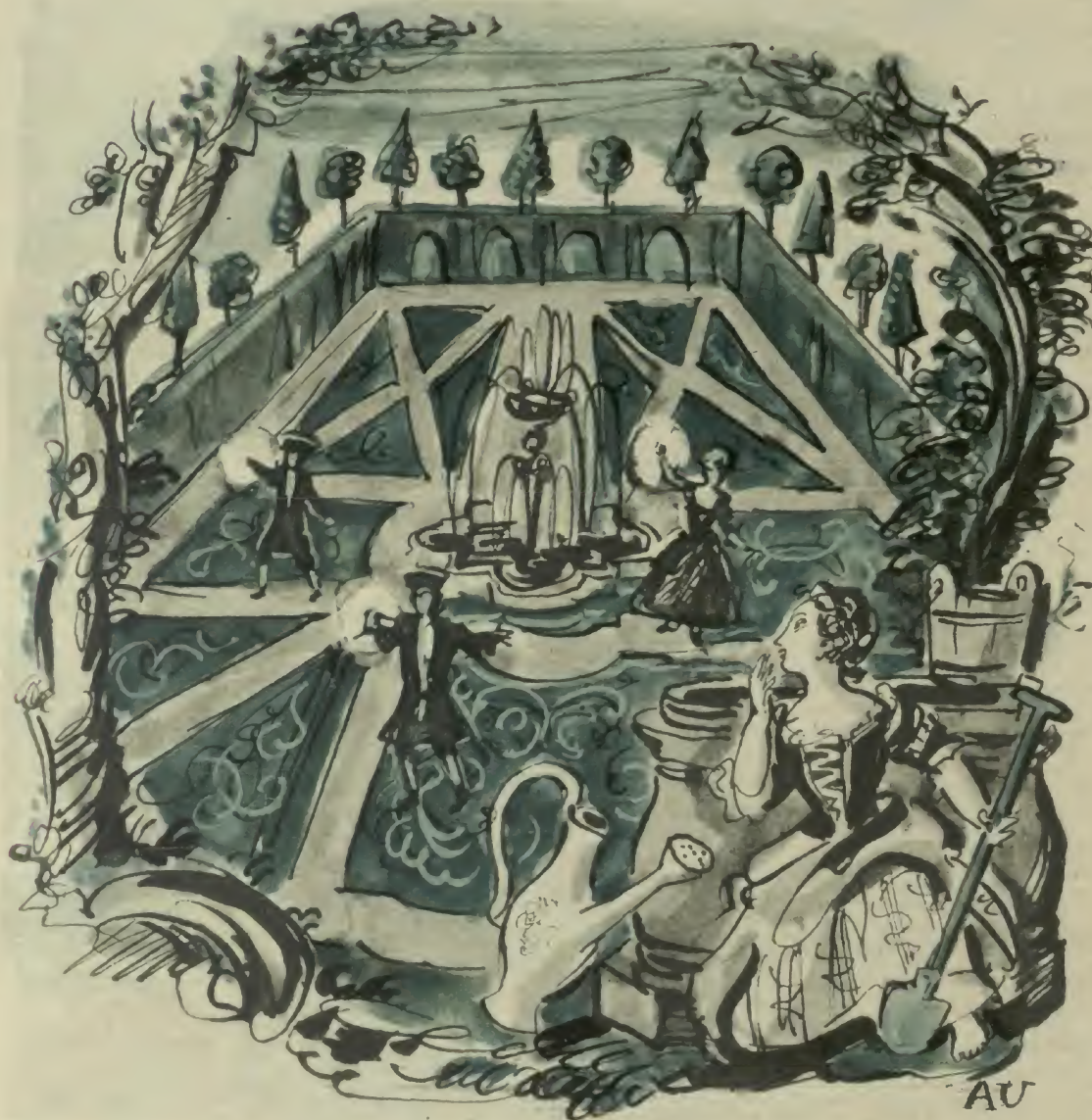


Z łuków triumfalnych na których stały dzieci szkolne, deszcz płatków kwiatów spadał na samochód wiozący przez ulice Delhi Bułganina, Chruszczowa i Nehru



# 6 OPER MOZARTA

RYUNKI ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO • TEKST LUCJAN KYDRYŃSKI



## OGRODNICZKA Z MIŁOŚCI

Do tekstu OGRODNICZKI skomponował najpierw muzykę Pasquale Anfossi i premiera opery odbyła w 1774 r. w Rzymie. Tu zainteresował się nią 18-letni Mozart, podłożył pod to samo libretto nową,

własną muzykę i już w następnym roku mozartowską OGRODNICZKĘ wystawiła Opera w Monachium. Niestety — nie zachowało się do dzisiaj ani oryginalne libretto, ani recytatywy z I aktu. Jednak dzięki

odpisom tekstu oraz uzupełnieniu partytury mozartowskiej recytatywami ze starej, zapomnianej już dziś opery Anfossiego, OGRODNICZKA Z MIŁOŚCI bawi dziś publiczność jako wcale niezła opera buffo.

**M**IEJSCE: WŁOCHY. Czas: rokoko. Hrabia Belfiore sądzi, iż zabił z zazdrości swą ukochaną, hrabinę Violetę. Tymczasem — wcale nie. Violetta, pod przybranym imieniem Sandriny pracuje jako ogrodniczka u Don Anchisa, kochając zresztą nadal nieobliczalnego hrabiego. I oto pewnego dnia Belfiore zjawia się w domu Anchisa, lecz — jako narzeczonny jego siostrzenicy Armidy. Dalsze powikłania nietrudno odgadnąć. Każdy kocha

się nie w tym, w kim powinien, lecz wszystko kończy się dobrze. Hrabia rozpoznaje Violetę, w towarzystwie wszystkich domowników szuka jej w pałacowym parku (na rysunku), dochodzi do porozumienia i trzy pary stają przed kurtyną gołowe do wzięcia ślubu: Violetta i Belfiore, Armida i jej zalotnik Ramiro oraz dwoje miłych służących: Serpetta i Nordo. Don Anchise ociera wilgotne oczy, wzruszony miłosnymi przejściami pięknej ogrodniczki z miłości...

**O**JCIEC JEGO początkowo studiował w Salzburgu teologię, później dopiero dobiek, iż właściwym jego powołaniem są skrzypce i kompozycja. Został skrzypkiem, ożenił się, a dawny okres studiów przypominał sobie od czasu do czasu, komponując nieco mu-

zyki kościelnej... Małżeństwo z Marią Anną Perth dało Leopoldowi m. in. sześciu dzieci. Tu jednak zajmujemy się tylko jednym: Wolfgangiem Amadeuszem, który lat temu dwieście ujrzał nad sobą błękitne niebo Salzburga. Było to 27 stycznia 1756 roku.

Zazwyczaj pisząc o muzykach, szybko przebiega się myślą nieciekawym najczęściej okres przedszkolny. Tu czynić tak niepodobna: ojciec Leopold zaczyna bowiem uczyć syna muzyki już w wieku lat trzech, a w dwa lata później 5-letni Wolfgang gra już (i komponuje!) drobne utwo-



## UPROWADZENIE Z SERAJU

## WESELE FIGARA

## DON JU



Gdy w 1781 roku jedna z berlińskich trup aktorskich wystawiła operetkę Bretznera BELMONTE I KONSTANCJA z muzyką Johanna Andre, aktor wiedeńskiego Teatru Narodowego Götlob Stephan, zwrócił Mozartowi uwagę, iż jej turecki temat możaby lepiej wyeksponować. Wzięli się razem do koniecznych przeróbek tekstu. Mozart za-

czął komponować i za kilka miesięcy UPROWADZENIE Z SERAJU było gotowe. Wystawiono je, po różnych kłopotach, w 1782 roku w Wiedniu. Sukces był wielki, Goethe, a także stary Gluck pełni byli słów uznania. I tylko Bretzner narzekał w Berlinie, że jakiś „nieznany facet” przerobił nieudolnie jego „świetną” (zapomnianą już dziś) operetkę

Obie sztuki Beaumarchaisa: CYRULIK SEWILLI i WESELE FIGARA są wam na pewno dobrze znane. Warto natomiast przypomnieć, że pierwszy z nich jako operę opracował już w 1776 roku Giovanni Paisiello (nie mylić z późniejszą, popularną operą Rossiniego). Zwróćmy na to uwagę, Mozart poprosił Lorenza da Ponte o opracowanie li-

bretta do WESELA FIGARA. Da Ponte był spryciarzem, wiedział, jakie kłopoty miał Beaumarchais ze swą rewolucyjną komedią, która kilka lat czekała na wystawienie, toteż w librecie gładko pozacierat sprawy drażliwe. Powstała z tego opera buffo, posługująca się klasycznymi środkami przebrań i wynikających stąd nieporozumień

Ilość opaciowań tematu DON JUANA w literaturze jest olbrzymia. Oplewali go Moller i Byron, Puszkina i Goldoni, nie mówiąc już oczywiście o kilku Hiszpanach i wielu, wielu innych. Podobnie w muzyce Don Juan dorobił się kilku oper, lecz właściwie tylko jednej nieśmiertelnej: Mozarta. Libretto opracował znów da Ponte. Tym razem

nie miała to być już opera buffo, lecz dramat „giocoso”: pogodna sztuka o poważnym podłożu, łącząca tragizm i komizm zarazem. Parły-turę napisał Mozart w ciągu kilku miesięcy, a znakomitą, grywaną dziś często na koncertach uwerturę, skomponował ostatniej nocy przed prapremierą w Pradze (w 1787 r.) podczas rozmów i picia ponczu.

**MIEJSCE: TURCJA.** Czas: XVI wiek. Piękna Konstancja i jej niemniej uroczą pokojówką Blonda zostają napadnięte i umieszczone w pałacu Baszy Selima. Kochający Konstancję Belmonte oraz jego sługa Pedrillo, zalecający się do Blondy zamierzają uwolnić obie kobiety. Oczywiście, są duże trudności, ale wreszcie ucieczka jest obmyślona. Gdy jednak cała czwórka o północy opuszcza już park pałacowy, budzi się Osmin, czuwający nad posiadłością Baszy. Spisek jest odkryty, winni stają przed obliczem Selima (na rys.). Ten poznaje w Belmonte syna swego największego wroga, groźnie zgrzyta zębami, obmyśla tortury... ale ostatecznie wzruszenie tak wielką miłością Belmonta i Konstancji, łagodzi jego gniew. Darowuje wszystkim wolność, kurtyna opada z uznaniem.

**MIEJSCE: OKOLICE SEWILLI.** Czas: koniec XVIII wieku. Figaro, lokaj hrabiego Almawiyu ma się żenić z Zuzanną, pokojówką hrabiny. Są jednak kłopoty. Pierwszy to ten, iż hrabia sam kocha się w Zuzannie, drugi, że Figaro przyrzekł podobno małżeństwo Marcelinie, kluczniczki zamkowej. Hrabina chciałaby na powrót odzyskać miłość męża, a paż Cherubin, zakochany również w Zuzannie, ścigany jest rozmiłowanym wzrokiem Barberiny, córki zamkowego ogrodnika. I jak to wszystko rozwikłać? Najpierw obietnica Figara. Otóż na rozprawie sądowej (na rys.) okazuje się, iż Figaro jest... synem Marceliny i Bartola. Ten kłopot więc odpada. Inne — stopniowo też. Ostatecznie wszystkie pary łączą się właściwie: wesele sprytnego Figara może się odbyć bez przeszkód

**MIEJSCE: MIASTO W HISZPANII.** Czas: po roku 1600. Trochę to będzie inaczej niż w sławnej sztuce Moliera. Rzecz zaczyna się pojedynkiem Don Juana z komandorem, który staje w obronie czci swej córki Anny (na rys.). Don Juan zwycięża i nierozpoznany ucieka. Spotyka teraz porzuconą przez siebie dawniej donnę Elwirę. Jej wyrzutów słucha jednym uchem, zalecając się z kolei do Zerliny, młodej wieśniaczki. Zjawia się też donna Anna ze swym kochankiem, prosząc Don Juana, by pomógł jej... znaleźć mordercę ojca. Przyrzeka odnaleźć! Wreszcie jednak zostaje rozpoznany. i zmuszony jest do ucieczki... Rzecz kończy się tak, jak we wszystkich innych Don Juanach: Posąg zabitego komandora, przybywa na prośzoną kolację, a Don Juan ginie rażony piorunem.

## COSI FAN TUTTE

## CZARODZIEJSKI FLET



Tym razem nie utwór literacki, lecz prawdziwe zdarzenie dało podstawę libretta. Mozart szybko wypełnił tekst da Ponte'a muzyką, premiera odbyła się w Wiedniu w 1790 roku, ale... od tej chwili zaczęły się komplikacje. Libretto uznano za płoche, wręcz niemoralne. Poprawiano więc to i owo, wyglądano, umoralniano i zmieniano. Doszło wresz-

cie do tego, iż do tejże muzyki Mozarta podłożono zupełnie inną sztukę Calderona, w Paryżu zaś połączono ją z komedią Szekspira... Wtedy dopiero nieco się opamiętano, wrócono do punktu wyjścia i zaczęto wystawiać COSI FAN TUTTE w oryginalnej, premierowej postaci. COSI FAN TUTTE czyli po polsku TAK CZYNIA WSZYSTKIE...

**MIEJSCE: NEAPOL.** Czas: XVIII wiek. Dwaj oficerowie Guglielmo i Ferrando zaręczeni są z dwiema siostrami: Fiordiligi i Dorabellą. Zakładają się z powątpiewającym Don Alfonsem o to, że ich narzeczone są ideałem wierności. Zakład stoi. Oficerowie rzekomo wyruszają na wojnę (na rys.), wracają jednakże szybko z powrotem, przebrani za... Albańczyków. Każdy z nich zaczyna się w tym przebraniu zalecać do narzeczonej drugiego. Są nierozpoznani, ale też — nie zyskują względów. Gdy jednak rzekomo zrozpaczeni popełniają rzekome samobójstwo, po wyratowaniu ich — panny zaczynają łagodnieć. Dochodzi do tego, iż Fiordiligi i Dorabella nagle do podpisania ślubnych kontraktów z przystojnymi „Albańczykami”! Zawiedzeni oficerowie odstawiają prawdziwe oblicze, ale — kończy się dobrze. O cóż się długo gniewać? Przecież — cosi fan tutte!



Emanuel Schikaneder, planował w 1791 r. operę czarodziejską i postanowił ją oprócz na temacie modnej wówczas sztuki Wielanda. Niestety, gdy praca nad librettem CZARODZIEJSKIEGO FLETU była już niemal na ukończeniu, wystawiono w Wiedniu operę opartą na tym samym utworze Wielanda. To zmusiło Schikanedera do przeróbki swego

**MIEJSCE: NA WSCHODZIE.** Czas: legendarny. Księżę Tamino napadnięty przez smoka, uratowany zostaje przez Królową Nocy. Władczyni prosi go, aby wybrał jej córkę Pamine, porwaną przez niedobrego czarodzieja Sarastro. W zamian przyrzeka mu rękę Paminy. Do pomocy Tamino otrzymuje płasznika królowej, Papagena oraz czarodziejski flet, który ma go ratować w niebezpieczeństwach. Tamino chętnie udaje się na niebezpieczną wyprawę. W rezultacie jednak okazuje się, iż Sarastro, Kapłan Słońca jest uosobieniem idealnej dobroci, a Pamine zabrali tylko dlatego, by ustrzec ją od złego wpływu złej matki. Tamino zyskuje miłość Paminy i postanawia wstąpić w szereg mądrych Kapłanów Słońca. W tym celu przejść musi kilka prób, w czym pomaga mu i czarodziejski flet, którego głosu słuchają wszelkie zwierzęta (na rys.)

ry. Odczekawszy jeszcze rok, ojciec wziął Wolfganga i jego 11-letnią siostrę, by zademonstrować umiejętności swych dzieci elektrykowi bawarskiemu, a potem na dworze wiedeńskim. Od sukcesu do sukcesu — rozpoczynają się podróże cudownych dzieci po całej Europie. Mijają —

jak się to mówi — lata. W 8-mym roku życia komponuje Mozart swoje pierwsze symfonie, w 10-tym operę i mszę, których wykonaniem sam dyrygował, w 14-tym został kapelmistrzem w rodzinnym Salzburgu. Wkrótce potem sławna bolońska Accademia Filharmonica przyjmuje go

w poczet swych członków.

Podczas jednego z późniejszych tournée Mozart przybywa do Mannheimu. Spotyka tu wielu znanych wówczas muzyków i — zakochuje się w córce jednego z nich, Fridolina Webersa. Z Aloisja (tak brzmiało jej imię) rozłącza Wolf-



# MAŁY SŁOWNIK TEATRU XX WIEKU



**GRABOWSKI** Władysław (ur. 1833) — znakomity aktor komediowy, obchodził w r. 1953 jubileusz 50-lecia pracy scenicznej. Choć zasadniczo „genre” Grabowskiego stanowiły role lekkich amantów oraz role komiczne, szeroka rozpiętość jego talentu pozwalała mu grać także świetnie klasyczny repertuar poetycki (role tyt. w „Fantazym” i „Mazepie”), a — z upływem lat — role wyraźnie charakterystyczne. Na otwarcie Teatru Polskiego w Warszawie, grał w „Irydionie” (1913) rolę Piladesa. Pisał o nim Leon Schiller: „Jest... uosobieniem kapitalnego instynktu teatralnego, który pozwala mu lawirować między groteską artystyczną, a wyrazem realizmów”. A. Zelwerowicz oświadczał, że Grabowski „przejdzie do historii naszego aktorstwa jako wielka, swoista indywidualność; — ciekawy, pełnowartościowy, oryginalny „typ” rasowego aktora”. Władysław Grabowski grywa do dziś — ostatnio gra Melville’a w „Maril Stuart” Schillera w Teatrze Narodowym.

**GRAND-GUIGNOL** — tak nazywa się paryski „teatr okropności”, grywający (często także

i je iokawne) utwory o treści makabrycznej, niesamowitej, pełnej grozy. Na zakończenie każdego programu, dla rozpożędzenia widzów, daje się tam krótką, wesołą farsę. Ciekawe są dzieje nazwy teatru. Otóż „Guignol” było to imię najpopularniejszej postaci francuskiego teatru marionetek. Guignol narodził się z końcem XVIII w. w Lyonie, skąd sława jego rozprzestrzeniła się po całej Francji. Następnie nazwa Guignol poczęto określać sam teatrzyk marionetek. Wreszcie w paryskim argot, określenie to oznaczało po prostu... policjanta.

**GRATIS** — czyli za darmo. Dawnie wystarczyło otrzymać od znajomego aktora „kartkę”, aby bezpłatnie wejść do teatru. Dziś manipulacje, związane z otrzymywaniem gratisowych lub ulgowych biletów, są bardziej skomplikowane.

**GRECKI** teatr — powstał z obrzędów religijnych, a do rozkwitu doszedł ok. V wieku p. n. e., gdy działali najwybitniejsi jego twórcy, w tragedii Ajschylos, Eurypides, Sofokles, w komedii Arystofanes. Przedstawienia greckie, związane z uroczystościami i świętami państwowymi trwały nieraz po kilka dni, a odbywały się w teatrach, zbudowanych z kamienia, o amfiteatralnej widowni, pozbawionych dachu. Aktorzy greccy występowali w maskach o specjalnie skonstruowanych otworach na usta, wzmacniających głos, tak aby słyszano ich w najodleglejszych miejscach widowni i na koturnach, czyli sandałach o niezwykle wysokich podeszwach — także dla

tego, aby ich było widać z dużego oddalenia. Technika sceny była już u Greków bardzo wysoko rozwinięta.

**GREGOR** Joseph — profesor uniwersytetu w Wiedniu ogłosił dzieło pt. „Weltgeschichte des Theaters” (Historia teatru światowego), które do dnia dzisiejszego, pomimo swych braków i pewnej przestarzałości, jest jedyną, a zatem podstawową pracą, starającą się ogarnąć całość tak ogromnego tematu.

**GRODZIENSKA** Stefania — patrz hasła „Satyryczny repertuar” oraz „Syrrena-teatr”.

**GROTESKA** — (z włoskiego).



Aktor w masce — postać z „No-wy szat króla” — świętego przedstawienia Krak. „Groteski”

w literaturze nazywamy tak utwor (także teatralny) o silnych akcentach komicznych i karykaturalnej przesadzie, o zaskakującym spietrzeniu absurdów i nieprawdopodobieństw, często o zabarwieniu satyrycznym (np. „Zielona Gęś” Galsczyńskiego).

**GROTESKA** — tak nazywa się krakowski teatr lalek, założony i prowadzony przez Zofię Jaremovą (dyrektorkę i kierowniczkę artystyczną) i Władysława Jarema (główny reżyser). W czasie swego 10-letniego istnienia „Groteska” zyskała sobie opinię najlepszego teatru tego typu w kraju. Opinię tę zawdzięcza zarówno wysokiemu poziomowi techniczno-aktorskiemu, ciekawemu doborowi repertuaru (największe sukcesy: „Cyryl Taraburba”, „Nowe szaty króla”, „Igraszki z diabłem”), jak i znakomitym inscenizacjom plastycznym. Kierownik plastyczny teatru Kazimierz Mikulski, oraz plastycy: Jerzy Skarżyński i Lidia Minc, są stałymi scenografami niemal wszystkich przedstawień.

**GRUSZCZYŃSKI** Krzysztof — młody i uzdolniony (taki) współczesny autor dramatyczny. Przed kilku laty wiele najsłynniejszych teatrów grało z powodzeniem jego „Pociąg do Marsylii”.

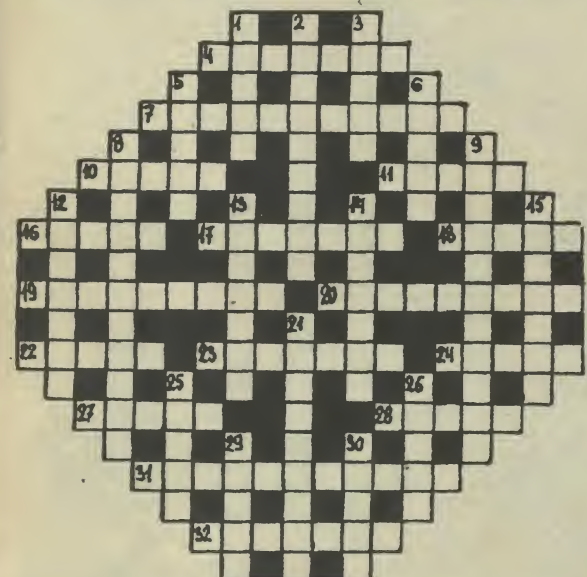
**GRYWIŃSKA** Irena — artystka dramatyczna, żona i wieloletnia partnerka sceniczną Karola Adwentowicza, przez pewien czas podzieliła z nim Teatr Kameralny w Warszawie. Stworzyła szereg interesujących kreacji w rolach charakterystycznych.

**„GRZECH”** — tytuł zapomnianego i niedokończzonego dramatu Stefana Żeromskiego. Dramat ten przed kilku laty „odkrył” i uzupełnił Leon Kruczkowski. Jego wystawienie w warszawskim Teatrze Kameralnym w r. 1953 stało się sensacją artystyczną kraju. Zespół artystów polskich zaprezentował także ten utwor na dorocznym międzynarodowym festiwalu teatralnym w Paryżu w r. 1954. Pamiętna kreacja Aleksandra Zelwerowicza.

**GRZYMAŁA-SIEDLECKI** Adam (ur. 1878) — wybitny pisarz, krytyk i człowiek teatru. Napisał szereg komedii („Sub-okatorka”, „Popas króla Jego-mości”, „Spadkobierca”, „Pani ministrów”), granych w naszych teatrach z dużym powodzeniem. Jako krytyk często polemizował z Boyem-Zeleńskim, z którym zresztą żył w przyjaźni. Już w r. 1906 prowadził w Krakowie teatr ludowy przeznaczony dla szerokiej warstw ludności. W latach 1912–15 był dramaturgiem warszawskich „Rozmaitości”, a 1916–18 dyrektorem Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Obecnie pisze podobno swoje wspomnienia teatralne. W przyszłym roku przypada jubileusz półwiecza pracy Grzymały-Siedleckiego dla polskiej sceny. Mogłby się on odbyć w Krakowie, z którym pisarz związany jest długoludnią działalnością i szczerym sentymentem.

(W następnym numerze: „GWIZD” i początek „H”).

## KRZYŻÓWKA „ORBISU” NR 17



**Poziomo:** 4. nie jest się tym we własnym kraju (w liczbie mnogiej), 7. rodzaj dowodu, 10. dom, w którym nikt miejsca nie zagrzeje, 11. małeńki hałas, 16. rzeka w Polsce, 17. chwali za pieniądze, 18. jeśli są młowane, gapi się na nie cięle, 19. słynne miejsce zbiorowego łamania kończyn, 20. sklep szczyliwych traw (może być „Orbis”), 22. rodzaj materiału, 23. beskidzka miejscowość wypożyczynowa, gdzie „Orbis” ma pensjonaty, 24. nie po, 27. to, z czego wyskakujesz, 28. wyspa

w grupie Filipinów, 31. dowód własności pała, 32. gra lub naleśnik.

**Pionowo:** 1. w wielu wypadkach ta instytucja ułatwia ci życie, 2. rozrywka, którą widać lubisz, 3. sól kwasu octowego, 5. tłuszcz lub bogini urodzaju, 6. słynny był Sobieskie. go do Wiednia, 8. przedmiot w szkole muzycznej, 9. część biura, tradycyjnie obsadzana przez kociaki, 12. szwankuje w niektórych towarach, 13. prosty cukier sześcioramienny, 14. nie potomek (wspak), 15. nie mło-

dzieniec, 21. mieszkanka jednej ze stolic europejskich, także nazwa czynnego przez wszystkie sezony pensjonatu „Orbisu” w Zakopanem, 25. dostajesz go rok rocznie, 26. polajd bez kół, 29. początek lotu, 30. miejsce, gdzie ma biec krakowiczek zwany.

**Pomiędzy Czytelników,** którzy nadesłali prawidłowe rozwiązanie krzyżówki do dnia 1 stycznia 1956 r. (niedziela), zostaną rozlosowane następujące nagrody:

**1 NAGRODA:** 1 tygodniowy pobyt w pensjonacie „Orbisu” w górach z bezpłatnym przejazdem poc. II kl. tam i z powrotem.

**2 NAGRODA:** 1 bezpłatny przelot samolotem na dowolnej linii krajowej tam i z powrotem.

Rozwiązanie krzyżówki prosimy nadsyłać do Redakcji „Przekrój” Kraków, skrz. pocztowa 533, z zaznaczeniem na kopercie „Krzyżówka Orbisu”.

**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z nr 555**

**Poziomo:** 7. andrus, 8. aromat, 11. szklanka, 12. podstawa, 13. ocena, 15. stany, 17. Goplo, 18. akta, 19. tran, 20. Ramon, 21. biuro, 22. indyk, 23. artel, 25. post, 26. apel, 29. sople, 30. aport, 33. Danae, 36. Lewiatan, 37. wieloryb, 38. Madryt, 39. rzepik.

**Pionowo:** 1. anilina, 2. bronza, 3. asfalt, 4. harpun, 5. ron-do, 6. bastion, 9. rzecz, 10. zwa-by, 14. Akropol, 15. Sarmata, 16. talenty (wspak), 17. Ganimed, 24. Tomek, 25. pelikan, 27. Laponia, 28. Satyr, 31. penaty, 32. rewiry, 34. start, 35. feler.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki z nr 555 otrzymują: R. RAGUSKI z Mińska Mazowieckiego, A. PA-PIERNIAK ze Strzemieszyc, Z. CZAPLICKI ze Salinogrodu, B.

CADER z Buczkowic, J. KOZA z Krakowa, H. WEGNER z Elku, P. WIECZOREK ze Stalino-grodu, H. ZDZIÓR z Dębicy.

**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI „ORBISU” nr 16 z nr 556**

**Poziomo:** 4. Rabka, 10. ope-retika, 12. cielisty, 13. piekarz, 14. bedarzo, 15. Eldorado, 16. kalendarze, 19. powodzenie, 22. iwa, 25. re, 26. noc, 29. pensjo-naty, 31. repatriant, 33. Prze-kroń, 37. uwertura, 39. agresor, 40. hydrofan, 41. egzotyka, 42. Szczyrk.

**Pionowo:** 1. śpiewacy, 2. pranie, 3. Star, 5. Abel, 6. kwas, 7. dren (wspak), 8. pierze, 9. stądnia, 11. rzępa (wspak), 12. Czerwony Kapturek, 17. diabo-ło, 18. epolety, 20. dzianet, 21. los, 22. bi, 24. wietrzyk, 27. kon-trakt, 28. pasjans, 30. swetry,

32. istota, 34. rafa, 35. cera (wspak), 36. osty, 38. Eliza.

W wyniku losowania Krzyżówki „ORBISU” Nr 16 z nr 556 nagrody otrzymują:

**1 NAGRODA:** UDZIAŁ W WYCIECZCE TURYSTYCZNEJ ORGANIZOWANEJ PRZEZ „ORBIS” DLA 2-CH OSÓB: JANINA MALISZEWSKA, Szczecin, ul. Ks. Ściegiennego 10/1.

**2 NAGRODA:** UDZIAŁ W WYCIECZCE TURYSTYCZNEJ ORGANIZOWANEJ PRZEZ „ORBIS” DLA 1-NEJ OSOBY: HANNA SCHMITZKE, Warszawa, Obózna 63a/5.

**3 NAGRODA:** 1 BON KON-SUMPCYJNY NA 100 ZŁ DO ZREALIZOWANIA W RESTAU-RACJI HOTELU „ORBIS”, STEFAN TOBIASZ, Kraków, Krowoderska 63a/5.



## OSMOLETNIA POETKA

**MIŁOSNIKÓW** poezji pasjonuje we Francji niezwykła historia: ukazał się ten wiersz, napisany przez 12-letnią dziewczynkę Minou Drouet.

Mała Minou to dziewczynka chorowita, bardzo nerwowa. Wychowuje się u przybranej matki, która adoptowała ją w wieku 18 miesięcy. Bardzo wczesnie zaczęła zdradzać zdolności muzyczne i zaczęła się uczyć muzyki. W 1954 Minou Drouet „zaprzyjaźniła się” z dwójkiem profesorów konserwatorium, zaczęła od nich pisać zadziwiające listy, w które wpływała równie zadziwiające wiersze. Listy te dostały się do rąk wydawcy Rene Juilliarda. Juilliard zachwycony wierszami, ogłosił je — tymczasem jako druk niesprzeczny — i rozesłał krytykom i poetom. W ciągu paru dni powstała cała „sprawa Drouet”.

Wiersze te pisane są wolnym wierszem, prawie bez interpunkcji, o luźnej budowie gramatycznej, odznaczają się dużą swobodą, w której bardzo „dorosłe” przenośnie sąsła-

dują z dziecinnymi skojarzeniami. Jest w nich bez wątpienia duża zdolność poetyckiego wzruszenia.

Zrodziły się podejrzenia, iż wiersze napisała naprawdę matka Minou. Dwóch wysłanników tygodnika kobiecego „Elle” ogłosiło po trzech dniach rozmów z Minou i jej matką „akt oskarżenia”. Ci, którzy wierzą w autentyczność wierszy znajdują jednak łatwo kontrargument na każdy punkt „oskarżenia”. Oto argumenty oskarżycieli i kontrargumenty obrońców.

Pani Drouet nie o-puszcza nigdy córki. (Nie to jednak dziwne, skoro dziecko jest bardzo słabego zdrowia).

Pani Drouet jest bardzo wykształcona. (Ale talent poetycki nie ma nic wspólnego z wykształceniem).

Większość „powie-dezeń” i fragmentów wierszy Minou cytują pan Drouet, podczas gdy dziewczynka nie po-wiedziała w obecności reporterów nie sprzeczą-nego. (Ten argument jest potworniejszy, ale nikt nie jest poety-cie, bez przerwy).

Dziewczynka sprawia czasem wrażenie, że re-cytuje fragmenty wierszy na jakiś sygnał. (Możliwe jednak, że Mi-nou nie bardzo zdaje so-bie sprawę ze swych po-etyckich odkryć i matka nitejako „wyznała” w-niej pewne skojarzenia).

Minou jest niewrażli-wa na przyrodę. (Ale wrażliwość na przyrodę rzadko u artystów uze-

ganga ojciec, który chciałby zatrzymać genialnego syna jak najdłużej przy sobie. Wiadomo — dochodzi! Gdy po kilku latach Mozart spotyka ją znowu, okazuje się, iż Alojzja wybrała już kogoś innego... Było mu jednak danym związać się z rodziną Weberów; po jakimś czasie bowiem żeni się z siostrą Alojzji — Konstancją.

Prowadzi ciężkie, tragiczne chwila życia. Walcząc często z biedą i intrygami przeciwników, przenosi się z miejsca na miejsce. Z Salzburga do Linzu, stąd do Wiednia, Pragi, Berlina, Drezn. Komponuje niesamowite wprost ilości utworów. U schyłku życia pisze największe swe dzieło sceniczne, operę „Czarodziejski flet” oraz genialne Requiem. Premiera „Fletu” odbyła się 30 września 1791 roku. 5 grudnia tegoż roku Mozart umiera. Chora Konstancja nie mogła brać udziału w pogrzebie. Kilku przyjaciół nie odprowadziło nawet konduktu do samego grobu... W rezultacie właściwie do dziś jeszcze nie wiadomo na pewno, gdzie pochowano Mozarta.

Pozostawił 19 oper, ponad 50 symfonii, ponad 50 koncertów, 15 mszy, 32 kwartety itd. Urok Mozarta, a zarazem jego wielkość leży przede wszystkim w doskonałości formy, wdzięku, prostocie i pogodnym nastroju większości jego utworów. Największe bodaj zasługi ma jednak Mozart w dziedzinie opery. Jego twórczość posiada tutaj przełomowe znaczenie; harmonijnie zespalał cechy różnych stylów narodowych, kończył ona hegemonię opery typu włoskiego, przygotowując już rozwój opery romantycznej. Po mistrzowsku władając swym rzemiosłem, potrafił Mozart połączyć szczerotę i siłę wyrazu z imponującą konstrukcją poszczególnych scen. Jego muzyka podnosi, uszlachetnia często zbyt blade lub zbyt nupuszone libretta, ich bohaterów czyni nieśmiertelnymi...

Spośród dziewiętnastu oper wybraliśmy dziś 6 najpopularniejszych. Jedne z nich znacie dobrze — innych wcale nie. Zyczymy wam i sobie — abyście wszystkie z nich mieli sposobność ujrzeć nie tylko na tej oto „przekrojowej” scenie.

LUCJAN KYDRYŃSKI





Nasza okładka: Święta przyszłości pod sztucznym księżycem. Poniżej: poeta zajmujący stanowisko wobec bliskich już lotów rakiet na Księżyc prawdziwy.

## Adam Włodek ROZWICHRZONY DYSKURS KSIĘŻYCOWY

Tak więc — kochany Satelito — nadchodzi nieuchronnie czas, kiedy współzycia nowe ramy określić musi każdy z nas.

Najulubieńszy Rekwizycie maniaków z wszystkich ziemskich ziem: pierzchają romantyczne mgiełki, zaciera rączki trzeźwy Lem!

Nie naprzykrzałem ci się nazbyt, (może w tym nawet błąd mój tkwił?) lecz tylu piewców poprzez wieki męczyło cię do kresu sił...

Pół biedy, jeśli przyjdzie świecić prawdziwie czulej znowie serc — lecz ileż częściej wzdycha pęta, a ty jak głupi w wierszu sterz!

Więc — gdyś się zaczął tu rozwodzić na temat stroicieli piór — ty myślisz pewnie: Ach, nareszcie zamilknie pomyślnych chór...

A chciałby mieć poeta prawo do księżycowych nowych psot: w naszym imieniu pan Twardowski odbył już w teren pierwszy lot...

Nas łączy z tobą, Współkrążący, porozumienia trwała nić: wszak dawał przykład mistrz Gałczyński, jak można z tobą w zgodzie żyć...

Gdyby udało się dosłużyć znaczniejszych poetyckich szlif, niech by nagrodą była jazda w wichurze komelowych grzyw!

Proszę: przyjmujcie nas, rakiety z kosmicznych wyrzucane proci! Chcę przecież przeżyć z mą dziewczyną prawdziwie księżycową noc.

Za to, Zaprzyjaźniony Globie, odwiedzę ci się, jeśli chcesz, i dla odmiany — pod twym niebem o Ziemi skrobę czuły wiersz!

A dobra Ziemia mi wybaczy takie przewrotne „och” i „ach”: najchętniej rzeczy nieuchwytnie zbliżamy w poetyckich snach.

Będzie pożytek z tej roboty: każdy, najbardziej próżny paw, paw-wierszotwórca, stanie wreszcie mocno na gruncie ziemskich spraw.

wnętrzną się w życie codziennym).

Minou nie zna sensu niektórych używanych przez siebie słów. (Argument poważny, ale także nie decydujący — mogą istnieć u dziecka-poety skojarzenia czysto dźwiękowe. M'nou może też nie umieć zdefiniować słowa, które intuicyjnie rozumie).

Minou nie poznaje własnych utworów. (Może jednak Minou nie zwraca uwagi na własny „zmysł poetycki”, uważając go za zupełnie naturalny).

I tak dalej.

Trzeba też zaznaczyć, że talent poetycki u dziecka nie jest niczym nieznanym. Przed wojną

poeci nadrealiści odkryli kilkoro malutkich poetów, z których najbardziej znana była Gisèle Prassinos. Na ogół jednak talent poetycki, który objawia się przed 12-tym rokiem życia, gaśnie potem w wieku dojrzewania. Dostępną prawdopodobnie wydaje się taka interpretacja. Pani Drouet

jest osobą dość niecodzienną: mimo rzeczywiste dożę wykształcenia, zajmuje się spirytizmem, wrózbami itp. Możliwe, że wiersze są wspólnym dziełem matki i córki: pani Drouet może pewnie rzeczywiście sugerować, uzupełniać pomysły i wiersze małej Minou. W pewnych fragmentach utworów można

się bowiem dopatrzeć wpływów stylistyki „dojrzałej” poezji — a z drugiej strony stwierdzono niewątpliwą wrażliwość i wynalazczość słowna dziewczynki.

W każdym razie — jak słusznie zauważył sędziwy Krytyk, Robert Kemp — najrozsądniej byłoby pozostawić dziecko w

spokoju. Jeśli bowiem jest w nim talent, nie trzeba go wypaczać przez niemądre wpływy — może ocaleje i da później „prawdziwą” poe-  
kę. Jeśli zaś jest to mistyfikacja — to odbywa się ona ze szkodą dla zdrowia psychicznego małej Minou

JB.

## PRZE KRÓT

### Wybory we Francji

Nowy Rok 1956 Francja powita dwoma dniami świąt: dzień 2 stycznia jako dzień wyborów będzie też dniem od pracy. Parlamentarzyści francuscy są wściekli z powodu przyspieszenia terminu wyborów, gdyż już trzecie z kolei święta Bożego Narodzenia mają zajęte (w 1953 — wielodniowa zacięta walka w związku z wyborem prezydenta; w 1954 — nie mniej długa i zacięta dyskusja oraz głosowania nad układami paryskimi; teraz — kampania przedwyborcza). Do walki o mandaty w Zgromadzeniu Narodowym liczne partie francuskie stają tym razem ugrupowane w trzy zasadnicze bloki:

● Prawica skupiona dookoła premiera Faure'a. Należą tu stronnictwa „niezależnych”, „chlopskie”, konserwatywne oddam radykałów, oraz byłych gaullistów (ARS). Chadecka partia MRP (Bidaud) która zwykle akcentuje swe „społeczne” stanowisko, tym razem skłania się również ku prawicy.

● „Front republikański” skupiony dookoła Mendes France'a. Grupa on socjalistów, część radykałów, część byłych gaullistów i mniejsze grupy, te które występują chętnie pod szyldem „lewicy”, ale odrzucają sojusz z komunistami.

● Komuniści (i republikanie postępowi) proponowali socjalistom i radykałom sojusz wyborczy, który jedynie mógłby zapewnić klasę prawicy, na co jednak kierownictwa tych partii się nie zgodziły.

Wybory odbędą się na podstawie ordynacji 1951 roku, mniej antydemokratycznej niż system większościowego głosowania w małych okręgach (który chciał przeformować Mendes France), ale gorszy niż system proporcjonalny. Obowiązująca ordynacja zezwala na łączenie się w departamentach list poszczególnych partii w tzw. „listy spowinowaczone”. Jeśli któraś taka lista uzyska więcej niż 50% głosów, wtedy otrzymuje ona wszystkie mandaty w tym departamencie (województwie). Jeśli natomiast żadna lista nie zdobędzie 50% głosów, wówczas rozdział mandatów w danym departamencie następuje proporcjonalnie.

Obowiązujący system obliczony jest specjalnie na to, by ułatwić tworzenie się koalicji wszystkich partii antykomunistycznych i pozbawił on w 1951 roku komunistów kilkudziesięciu mandatów. Tym razem ze względu na gwałtowne spory pomiędzy poszczególnymi partiami burżuazyjnymi, zasada proporcjonalności będzie prawdopodobnie stosowana częściej niż w 1951 roku.

Jaki będzie konkretny wynik wyborów przewidzieć trudno.

## tygodnia

Prawdopodobnie nie zmienią one jednak wiele w układzie sił politycznych we Francji.

### Z Azji

#### Towarzysz Nu

„Zwracając się do mnie i Nikołaja Aleksandrowicza Bulganina premier Burmy nazwał nas towarzyszami. Tak, jesteśmy towarzyszami we wspólnym walce o interesy pokoju i przyjaźni... Niech mi wolno będzie raz jeszcze złożyć wam, drogi prezydencie Ba U, wam, towarzyszu Nu, wam wszystkim przyjaciele, całemu narodowi burmańskiemu życzenia sukcesów w umocnieniu niezawisłości waszego kraju”. (Z przemówienia N. Chruszczowa na wiecu w Rangunie).

#### U studentów

„Wizyta wywarła ogromne wrażenie na studentach uniwersytetu w Rangunie, z których w przyszłości rekrutować się będą kierownicy życia Burmy. Podczas przemówienia Chruszczowa niektórzy studenci byli tak wzruszeni, iż było widać łzy w ich oczach. Studenci okazali swój entuzjazm unosząc zaciśnięte pięści w pozdrowieniu frontu ludowego”. (Z relacji korespondenta „New York Timesa” o spotkaniu studentów burmańskich z przywódcami radzieckimi, na którym Chruszczow opowiadał o kolejach swego życia: jak był żołnierzem, robotnikiem, słuchaczem fakultetu robotniczego, studentem akademii przemysłowej).

#### Opinia Ameryki

„To była satysfakcja zrewanżowania się Zachodowi za wszystkie zniewagi i wyzysk jaki cierpiał w przeszłości naród hinduski, za niedawny afront jakim w oczach Hindusów jest pakt amerykańsko - pakistański przewidyjący dostawę broni dla Pakistanu. Patrząc na siebie sobie radę sami, nie potrzebujemy was”. (Korespondent dziennika „Washington Post” z Kalkuty).

### Milionerka

Jedenastą rocznicę swego wyzwolenia Warszawa obchodzić będzie jako miasto znowu milionowe. Milion mieszkańców przekroczyła stolica już w listopadzie. Po raz pierwszy Warszawa została milionerką przed 30 laty. W 1939 przekroczyła liczbę 1.350 000 mieszkańców.

### Nafta

Być może, krajobraz polskiego wybrzeża wzbogaci się kiedyś o sztuczne wyspy-platformy z szybem naftowym, takie jakich setki spotkać można u wybrzeży Morza Kaspijskiego koło Baku, u brzegów Texasu czy Wenezueli. Na razie jest to tylko fantazja. Ale na obszarach nizinnych północno-zachodniej Polski ciągnących się aż po wybrzeże Bałtyku w Koszalinie — jest nafta. Trzeba ją tylko znaleźć. A szuka jej przy użyciu najnowszych metod nau-

kowych i zapowiedzi są obiecywane.

Naftę w ogóle jest w Europie więcej niż do niedawna przypuszczano. Podobne do naszych obszary nizu niemieckiego w NRF dają już poważne ilości ropy naftowej. Rozrastają się nowe zagłębia na Węgrzech, w Austrii, we Francji. Ale najbardziej sensacyjnie sprawa wygląda we Włoszech.

Na samej tylko Sycylii, jak obliczają eksperci, można by w ciągu kilku lat doprowadzić wydobycie ropy do 13—14 milionów ton rocznie — a nowe złoża wykrywa się wciąż w całych Włoszech. Tymczasem wielkie monopole (80% nafty włoskiej jest w rękach cudzoziemskich) świadomie hamują rozwój przemysłu naftowego. Amerykański koncern Gulf Oil celowo nie eksploatuje dużej części terenów na Sycylii na które otrzymał koncesję i ogólnie wydobycie nafty sycylijskiej w ciągu ostatnich dwóch lat znacznie się zmniejszyło. Chodzi o to, by zwiększając wydobycie nie spowodować obniżki cen ropy. W związku z tym istnieje poważny konflikt pomiędzy przemysłowcami włoskimi a towarzyszami amerykańskimi i popierającą te towarzystwa ambasada USA.

### Hemingway



Laureat Nobla na rok 1954, Ernest Hemingway posiada obecnie na składzie trzy gotowe powieści, a czwartą, liczącą już 700 stron, spodziewa się skończyć w lutym przyszłego roku i również na razie nie publikować. O treści tych utworów nie wie nic ani żona pisarza, ani nikt z jego przyjaciół, ani wydawca. Manuskrypt każdej powieści oraz jego kopię na mikrofilmie przechowuje Hemingway w skrytkach dwóch banków: jednego w USA, drugiego na Kubie, gdzie obecnie stale mieszka.

Powód, który skłonił znakomitego pisarza do zwołania w opublikowaniu swych nowych powieści jest bardzo prozaiczny. Pragnie on uniknąć wysokiej progresji podatkowej stosowanej w USA. Gdyby bowiem do jego obecnych znacznych dochodów z dotychczasowych dzieł doszły jeszcze wpływy z nowych powieści, wówczas blisko 85% tych ostatnich wpływów pochłonięłyby podatek dochodowy. „Poza tym jest to mój własny system ubezpieczenia na życie zapewniający spokojną

przyszłość mojej rodzinie” — mówi Hemingway.

### Żelazny Grad

Przeżywszy lat 96 zmarł w rezerwadzie indyjskim w Południowej Dakocie (USA) wódz Wa-Sue-Ma-Za albo Żelazny Grad. Był on prawdopodobnie ostatnim żyjącym uczestnikiem słynnej bitwy pod Little Big Horn w 1877 r. — ostatniego wielkiego zbrojnego starcia Indian z wojskami amerykańskimi. W bitwie tej Siouxowie pod wodzą Siedzącego Byka zadali ciężką klęskę Amerykanom. Zginął wtedy generał Custer i kilkuset żołnierzy z oddziałów pacyfikacyjnych wysłanych przeciw Siouxom, usiłującym bronić swych ziem przed inwazją białych poszukiwaczy złota i osadników. (Patrz współczesną relację Henryka Sienkiewicza w jego „Listach z Ameryki”).

### Waga

Nawet poważniejsza prasa amerykańska prześmiewa się z wścibstwa własnych reporterów, którzy zdobywają i triumfalnie przynoszą czytelnikom na przykład najbardziej intymne szczegóły o stanie zdrowia i funkcjonowaniu poszczególnych organów różnych osobistości. Niekiedy jednak zdarzają się przy tym wiadomości dość zabawne. Na przykład informacja, że prezydent Eisenhower stracił w czasie swej choroby na wadze 4 funty — zaś jego lekarz osobisty, generał major Howard Snyder schudł w tym samym czasie o 6 funtów.

### Lżej chorować

W przyszłym roku polski przemysł farmaceutyczny przystąpi do produkcji następnego z kolei antybiotyku — streptomycyny. Produkcja antybiotyków w porównaniu z 1950 rokiem wzrosła w Polsce o 3,75%! Niedługo zaczniemy też wyrabiać aureomycyny, mafenar i bilamid. Cieszymy się z tego bardzo — oby tylko to wszystko można było nabyć w aptekach!

### Jeszcze raz

...wyjaśniamy wszystkim Czytelnikom, którzy chcą zaabonować „Przekrój” lub utrzymać dawną prenumeratę i zaliczając w tym celu pieniądze, tłumacząc, że są abonamentami „Przekroju” od 10 lat, powołując się na swoją znajomość ze znajomymi redaktorami lub znajomymi ich znajomymi:

Redakcja „Przekroju” nie ma żadnego wpływu na sposób rozdziału pisma i na zarządzenia „Ruchu” w sprawie prenumeraty. Z chwilą wydrukowania „Przekroju” przechodzi w ręce „Ruchu”, który zajmuje się sprawami kolportażu, prenumeraty itp. Na pociechę możemy tylko poinformować, że od tego numeru nakład „Przekroju” zostaje w pewnym stopniu zwiększony. Wesółych Świąt!



# Nasze KONKURSY

**Tym razem  
cztery niezależne!**

Dajemy tym razem aż cztery konkursy całkiem od siebie niezależne. To znaczy, że nagrody każdego konkursu będą losowane oddzielnie. Czytelnik może wziąć udział tylko w jednym konkursie, lub w dwóch, lub w trzech, albo też we wszystkich czterech.

Czytelnik, który weźmie udział we wszystkich konkursach t. j. „Dwóch Turków”, „Gdzie piłka?”, „Pęknięty zegar” i „Połącz 9 punktów” — może przy szczęśliwym trafie wygrać wszystkie cztery pierwsze nagrody!

Rozwiązania należy wysłać na złotych kuponach, które widziecie na tej stronie u dołu. Żółte pola kuponów należy po wypełnieniu wyciąć i przesać w kopercie z napisem „KONKURSY” — w terminie do dnia 3 stycznia (wtorek) — na adres: Tygodnik „Przekrój”, Kraków, skrytka pocztowa 560. Można wysłać kupony w tej samej kopercie, co rozwiązanie konkursu na hasło o złomie ze str. 17.

Na każdy konkurs przeznaczonych jest tuzin nagród. Będą one rozlosowane między Czytelników, którzy nadesłali w terminie i na kuponach trafne rozwiązania.



## DWÓCH TURKÓW

Powyżej reprodukowane dwa obrazki, przedstawiające dwóch Turków, na pierwszy rzut oka wydają się identyczne. A jednak różnią się od siebie te obrazki aż w 12 szczegółach. Obejrzyj dokładnie obrazki i wymień 12 punktów, w których różni się drugi obrazek od pierwszego.

I NAGRODA — ADAPTER FRANCUSKI na długogrające płyty, walizkowy, marki „Stare Prelude”, z jedną płytą długogrającą, oraz 11 dalszych nagród-upominków.

## WOJCIECH ZABŁOCKI

(2-gie miejsce na  
mistrzostwach  
w Wiedniu)

## WIEDEN w skrócie

**T**URNIEJ stał pod znakiem doskonałej formy Węgrów, którzy zajęli wszystkie czołowe miejsca. Jedynie w szachy udało mi się wcisnąć między trójkę Madziarów: zająłem drugie miejsce przed zesłorocznym mistrzem świata, Karpasem. Pierwszym był Gerevics, który przeżywa obecnie renesans formy. Mówię tu o corocznych mistrzostwach Wiednia w szermierce, które odbyły się od 1 do 4 grudnia.

## GDZIE PIŁKA?

Na zdjęciu przedstawiającym fragment meczu piłkarskiego, usunięto w retuszu piłkę. Należy zgadnąć, w której kratce zdjęcie ta piłka się znajdowała. Kratkę należy oznaczyć cyfrą i literą. W rozwiązaniu tego konkursu gra rolę trochę obserwacja, ale trochę i szczęście. Jest to więc konkurs-łoteryjka.

I NAGRODA — Doskonały ZEGAREK NA RĘKĘ, niemieckiej marki „Ruhla” oraz 11 mniejszych lecz atrakcyjnych nagród.



## KUPON KONKURSU „DWÓCH TURKÓW”

	A	B	C	D	E	F	G
1							
2							
3							
4							
5							
6							
7							
8							
9							

Imię i nazwisko .....

Adres .....

## PĘKNIĘTY ZEGAR

W tarczy zegara wieczowego, którą widziecie poniżej na kuponie, uderzył piorun. Skutkiem tego tarcza pękła na 4 nieregularne części — w taki sposób, że suma cyfr na każdej z tych części wynosi 20. Wrysuj na tarczy 3 łamane linie, które podzieli tarczę na 4 części odpowiadające temu warunkowi.

I NAGRODA — ZEGAREK NA RĘKĘ niemieckiej marki „Ruhla”, oraz 11 ślicznych upominków

## KUPON KONKURSU „ZEGAR”



Imię i nazwisko .....

Adres .....

## POŁĄCZ 9 PUNKTÓW

Czterema prostymi kreśkami, nie odrywając ołówka od papieru, połącz z sobą 9 punktów figurujących obok na kuponie.

I NAGRODA — RADIOAPARAT „PIONIER” w gustownej drewnianej skrzynce, 4-lampowy, oraz 11 ładnych nagród-upominków.

## KUPON KONKURSU „9 PUNKTÓW”

Imię i nazwisko .....

Adres .....

## KUPON KONKURSU „GDZIE PIŁKA?”

Piłka jest w kratce: .....

Imię i nazwisko .....

Adres .....

Austria przechodzi teraz okres doskonałej koniunktury. Wiedeńscy mówią: Szwajcaria nie będzie miała monopolu na neutralność.

Uroczystości otwarcia nowej opery trwały do 6 grudnia. Przez 3 tygodnie Wiedeńscy podniecali się widokiem i opisami znakomitych gości. Bilety na premierę osiągnęły astronomiczną cenę 3 tysiące szylingów (przeciętne zarobki wynoszą 1500 sz.). Pewien snob przemysłowy, chcąc widocznie zadziwić świat, jak Herodas, wykupił dla siebie samego 6-osobową łozę za 17 tysięcy szylingów! I sam w niej siedział na przedstawieniu.

Zwiedziłem muzeum historii i sztuki, które posiada bodaj najliczniejszą na świecie kolekcję obrazów Breughla. Dopiero tutaj rozwiązałem zagadkę obrazu „Wesele chłopskie” i odnalazłem właściciela tajemniczej „trzeciej nogi”. (Patrz „Przekrój”: nr 237). Jest nim chłop siedzący na ławce.

Dzięki uprzejmości Państwa Polskiego w Wiedniu byliśmy w operze. Carmen śpiewała bawiąc tu na gościnnych występach Hiszpanka. Jej pełna temperamencie gra robiła duże wrażenie. W roli Don Josego występował Szwed. Podobno Austriacy nie mają dobrych tenorów.

Zawodnik, walczący w całym turnieju, przechodzi z reguły kilkugodzinny spadek formy. Jest to okres niebezpieczny, bo nie da się powiedzieć, kiedy nastąpi. W czasie Mistrzostw Wiednia ów spadek formy, (zwany przez nas „czasem depresyjnym”), miałem w półfinale. Całe szczęście, że w półfinale nie było wielu groźnych przeciwników i do finału zakwalifikowałem się mimo słabych walk. Mniej więcej godzinę po „czasie depresyjnym” następuje zwykła forma. W Wiedniu odyskałem formę własnie wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebowałem: na finał.

WOWO



# JUBILEUSZ

**J**UBILEUSZ jest przejściem na emeryturę. Nie ma wypadku, by ktoś miał jubileusz, a potem zabłysnął jeszcze nowym dziełem. By nie zadać kłamu tej regule, ociągaliśmy się z jubileuszem Jana Kamyczka, którego 10-lecie pracy jako rysownika humorystycznego w naszym piśmie minęło już dobre pół roku temu. A nuż, myśleliśmy, jeszcze coś narysuje i cały jubileusz na nic. Jeszcze i dziś na pewno nie wiadomo, czy nie wróci mu twórcza wena, ale już ryzykujemy, i oto jubileusz. Z tej okazji przypominamy Czytelnikom „Przekroju” niektóre z tych żartów i rysunków Jana Kamyczka, które w swoim czasie cieszyły się powodzeniem.



— Panie Karafka, co jest z pańskim kapeluszem?  
— Zamieniłem go w szatni: to jest kapelusz na wysokiego mężczyznę.



— Z czym pan tu przyszedł, panie Kapuściński?  
— Kwiaciarnia była zamknięta, musiałem kupić czekoladki.



Poproszę o szczoteczkę do zębów.



— Przybyło nam na wczasach 3 kilogramy



— Widzisz, moja droga, tak chodzą ludzie w Ameryce.



— Proszę mi dodać siwych włosów owdowiałam.



— Moja żona jest w ogrodzie: to ta w czerwonej sukni.



— Za co pan się przebrał, panie Karafka?  
— Nie poznaje pan? Za słonią.



— Hallo, wolny?



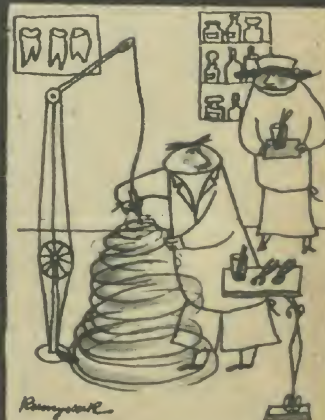
— Ma pani wysoką gośćkę.



— Zerwałem z narzeczoną, czy przyjmie pan z powrotem pierścionek?  
— Nie, ale mogę panu wyszukać inną panienkę.



— Żona trochę niedomaga, więc wziąłem zapasową.



— Zepsuła się bormaszyna, muszę kręcić pacjenta naokoło świdarka.

P.S. W ostatniej chwili Jan Kamyczek narysował okładkę do niniejszego numeru (patrz strona 1)





Odcieci na płaskowzgórzu nazwanym Ziemią Maple White'a dwaj uczeni Challenger i Summerlee, dzielnikarz Malone, oraz John Roxton, zapoznają się z tajemnicami przedhistorycznego świata.

Challenger i Summerlee znajdowali się nad brzegiem jeziora, gdzie kilku krajowców, pod ich kierownictwem łowiło im harpunami wielkie wodne jaszczurki. Roxton i ja pozostaliśmy w obozie. Kilku nastu Indian, zajętych rozmaitema pracą, uwijało się na skalistym zboczu w pobliżu jaskiń. Nagle rozległ się przeraźliwy okrzyk — „Stoa!” — i ze wszystkich stron zaczęli biec mężczyźni, kobiety, dzieci, krzycząc ze strachu i uciekając panicznie w stronę jaskiń. Znakiem wzywały i nas do pójścia za ich przykładem. Chwyciliśmy za karabiny.

W tym momencie zza drzew wybiegło dziesięciu lub dwunastu Indian. Za nimi pędzili dwa potwory takie, jak ten, który kiedyś w nocy napastował nasz obóz i przesładował mnie podczas samotnej wycieczki nad jezioro. Kształtem przypominały olbrzymie ropuchy, a poruszały się olbrzymimi susami. Ich cielska były większe od największego słonia. Nigdy jeszcze nie oglądaliśmy ich w dzień, bo są to zwierzęta nocne i we dnie ukazują się tylko wtedy jeśli zostaną spłoszone z legowisk.

Potwory dopadały uciekających, siejąc wśród nich straszne spustoszenie. Rzucały się kolejno całym swym ciężarem na ofiarę, gniotły ją na miazgę i dopadały następnej. Nieszczęśliwi Indianie krzyczeli rozpaczliwie, ale nie byli w stanie wymknąć się szybkim ruchom i siłom swoich napastników. Padali jeden za drugim i zaledwie sześciu z nich zostało przy życiu, kiedy z Roxtonem pośpieszyliśmy im z pomocą. Niestety pomoc ta nie była wielką, a nas naraziła na niebezpieczeństwo.

Strzelaliśmy raz po raz z odległości kilkuset kroków, ale kule nasze wchodziły w ciała potworów nie czyniąc na nich wrażenia. Gady, pozbawione nerwów i ośrodków mózgowych, były nieczułe na wszelkie rany i odporne na pociski współczesnej broni. Udało nam się jedynie hukami wystrzałów odwrócić ich uwagę i zatrzymać nieco pościg, dzięki czemu i my i Indianie zdołaliśmy schronić się na schody prowadzące do jaskiń. Ale zatrute strzały Indian, maczane w odwarze Strophantum i nurzane potem w gnijącej padlinie, okazały się skutecznymi tam, gdzie bron XX wieku była bezsilna.

Gdy oba potwory znalazły się u stóp jaskini, cały deszcz strzał posypał się na nie. W mgnieniu oka były nimi naszpikowane, a jednak nie dając znaku bólu, pięły się na skałę, drapały ją pazurami, wspinały się na schody i ciężko opadały na ziemię. Wreszcie jednak trucizna poczęła działać. Przeciągły ryk wydarł się z paszczy jednego potwora, który pochylając kwadratowy łeb, runął na ziemię. Drugi okrzęcił się kilkakrotnie, po czym wydając ostre, przenikliwe ryki, począł wiać się w agonię, aż w końcu zeszytywał na ziemi.

Kiedyś, w lepszych warunkach, dokładniej opiszę nasze przeżycia wśród Indian szczepu Accala.

Opiszę także tę cudowną noc księżycową, spędzoną na jeziorze, gdy zlewny wąż wodny wychylił się z sitowia i porwał w swe sploty sternika z łodzi Challenger.

Opowiem także o przedziwnych, wielkich, nocnych stworzeniach, które żyją w błotach na wschód od jeziora i nocą unoszą się w powietrzu z fosforycznym blaskiem. Indianie boją się ich tak panicznie, że nie chcą zbliżyć się do błota, my zaś, choć dwukrotnie robiliśmy doń wyprawę i oglądaliśmy jego dziwnych mieszkańców, jednak nie zdołaliśmy przebyć trzęsawisk i dotrzeć do ich legowisk. Powiem tylko, że wydały mi się większe od krowy, a wydzielają dziwny, pismowy zapach.

Wspomnę również o wielkim ptaku, większym od strusla, o seplej szyl i groźnym łbie, będącym jakoby uosobieniem okrucieństwa i o tożsamości, wielkiej sił, o olbrzymich sterzących kłach, któreśmy pewnego ranka zabili przy wodopoju.

Przepraszam Was, Czytelnicy, że na chwilę przerywamy tekst powieści. Ale chcemy w tym miejscu zamieścić rozwiązanie naszej zgadywanki „Kradzież Dany z lasica”, ze str. 15-ej. Oto ono: Seweryn Oko upewnił się, że Chwast podał kłamliwe alibi, gdy zauważył iż „wybyszczone, czarne półbuty” przestępcy „lśniły nieskazitelnie” (podpis 2). Oczywiście było rzeczą, że Chwast nie mógł wracać niebrukowaną polną drogą (podpis 1) pleszo, gdyż wówczas buy musiałby być odpowiednio zakurzone. Chwast przyznał sam, iż dopiero co powrócił do domu i zdążył zdjąć tylko koszulę, a nałożyć szlafrok. Zauważając przez Oko wizytę Chwasta w muzeach (podpis 1) i podane przez niego alibi sprawiły, iż detektyw Seweryn Oko mógł śmiało aresztować go jako podejrzanego. Oczywiście „cała ta historia z kradzieżą „Dany z lasica” jest tylko żartem, a „Dany z lasica” wisi spokojnie w muzeum. A teraz prosimy o czytanie w dalszym ciągu odcinka „Świata zaginionego”.

Te sceny i te wydarzenia wryły mi się w pamięć na zawsze.

Codziennie doznawaliśmy nowych wrażeń, choć nie szukaliśmy ich już, bo wszystkie siły były ciągle skierowane ku wydobyciu się z naszej pułapki. O jednym byliśmy w zupełności przekonani: Indianie nie uczynią nic, aby nam dopomóc. Są nam przyjaźni i niemal niewolniczo oddani, ale gdyśmy im proponowali, by nam pomogli przerzucić drewnianą kładkę przez przepaść, albo aby nam dostarczyli zwojów lian lub postronków skórzanych, którymi moglibyśmy przy zejściu się posłużyć — spotykaliśmy stanowczą choć dobroduszną odmowę. Uśmiechali się, mrużyli oczy i potrzaskali przecząco głowami. Nawet stary wódz posługiwał się tą samą taktyką. Tylko ocalony przez nas syn wodza — Maretas — wytłumaczył nam gestami, że nie dla nas nie może uczynić. Od czasu zwycięstwa nad małpoludźmi rodacy jego uznają nas za półbogów, których niepojęta broń zapewniła im powodzenie i są przekonani, iż szczęście ich nie opuści dopóki my będziemy wśród nich. Ofiarowali też każdemu z nas drobną czerwonoskórą kobietę za żonę i piękną suchą jaskinię za mieszkanie, pod warunkiem, że zapomnimy o swoim kraju i pozostaniemy na zawsze tutaj.

Dotychczas nie mieliśmy z nimi żadnych zatargów, gdyż jesteśmy pewni, że gotowi są zatrzymać nas tu siłą.

Odwiedziłem w ciągu ostatnich trzech tygodni dwukrotnie nasz dawny obóz, aby zobaczyć się z Murzynem, który nie opuszczał swego posterunku w dolinie.

Powracając z drugiej takiej wycieczki, która na tyle się przeciągnęła, że spędziłem noc z dala od moich towarzyszy, miałem dziwne spotkanie. Idąc zwykłą, dobrze znaną drogą, zbliżyłem się do miejsc, oddalonego najwyżej o jakie dwie mile od trzęsawiska pterodaktylów i ujrzałem wtedy przed sobą jakąś niezwykle postać. Był to człowiek okryty trzcinową ramą w kształcie dzwonu. Okrywała go ona ze wszystkich stron. Z niepoimiernym zdumieniem poznałem w tym człowieku Roxtona. Spostrzegłszy mnie, wy dobył się ze swej klatki i podszedł do mnie, śmiejąc się nie bez pewnego zakłopotania:

— Doprawdy, młodzieńcze — rzekł — nie spodziewałem się spotkać tutaj pana.

— Co pan tu robi, u diaska? — spytałem.

— Idę z wizytą do tych miłych pterodaktylów.

— Ale po co?

— Ciekawe stworzenia, nie sądzi pan? Tylko strasznie nietowarzystwie! O ile pan pamięta są dość nieuprzejmie dla obcych. Toteż skonstruiowałem ten przyrząd, aby się uchronić od zbyt natarczywej ich uwagi.

— Ale czego pan szuka w tym bagnie? — dopytywałem się.

Spojrzał na mnie bystro, a na twarzy jego wyczytałem wahanie.

— Czyżby ciekawość była wyłącznym przywilejem uczonych? — rzekł wreszcie. — Powinno panu wystarczyć, że studiuję obyczaje tych pięknych ptaszków.

— Bez urazy, milordzie — rzekłem.

Roześmiał się, odyskując swój zwykły, dobry humor.

— Nie, nie, bez urazy, młodzieńcze. Chcę złapać jedno takie piśkie dla Challenger'a. Dziękuję panu za towarzystwo, ale nie mogę go przyjąć: jestem zupełnie bezpłeczny w swojej klatce, a pan nie. Wróć do obozu przed zachodem słońca.

Zawrócił i wszedł w las okryty swym osobliwym przyrządem.

— Ale jeśli zachowanie Roxtona było dziwne, to zachowanie Challenger'a jeszcze dziwniejsze. Przede wszystkim muszę stwierdzić, że cieszył się niezwykłym powodzeniem wśród Indianek. Wskutek tego nie wypuszczał z dłoni starej gałęzi palmowej, którą się przed nimi oganiał.

Całe ranki spędzał na samotnych wycieczkach, z których powracał nastrojony uroczysto jak człowiek, który dźwiga na barkach ciężar ogromnej odpowiedzialności. Pewnego dnia zaprowadził nas do swej pracowni i wtajemniczył w swe plany.

Pracownią tą była polanka wśród palmowego gaju. Tryskał tu jeden z tych błotnistych gejzerów, jakie już poprzednio opisywałem. Naokoło leżały rozrzucone postronki, wykrojone ze skóry iguanodona i olbrzymi pęcherz, który był wysu-

żonym i oczyszczonym żóładkiem wielkiej wodnej jaszczurki. Pęcherz ten był zeszyty w kształcie worka i posiadał tylko jeden otwór, w który wpuszczone były wydrążone trzciny, tkwiące drugim końcem w błocie gejzera. Pęcherz w naszych oczach napęlił się gazem i począł unosić się z ziemi, tak, że Challenger musiał go przywiązać postronkami do drzew.

Challenger, jak uszczęśliwiony ojciec wobec swego pierworodnego, stał, głaszcząc brodę i patrząc w zachwyconym milczeniu na swoje dzieło. Summerlee odezwał się pierwszy:

— Nie ma pan chyba zamiaru, Challenger, wyekspluować nas stąd przy pomocy tego przyrządu? — zapytał lodowatym głosem.

— Mam zamiar, drogi kolego, zademonstrować wam mój wynalazek i jestem przekonany, że po tej demonstracji, żaden z was nie zawaha się odbyć w nim podróży.

— Niech pan to sobie wybiję z głowy od razu i raz na zawsze — rzekł stanowczo Summerlee. — Nic mnie nie zmusi do popelnienia takiego szaleństwa. Milordzie, odwołuję się do pańskiego rozsądku i mam nadzieję, że nie będzie pan popierał podobnego pomysłu.

— Diabielem sprytnie pomyślane — odparł Roxton — chciałbym to zobaczyć w ruchu.

— I zobaczy pan — rzekł Challenger. — Przez kilka dni wysyłałem swój umysł nad sposobem wydobycia się stąd. Doszliśmy do przekonania, że nie możemy zejść po przepaściach skałach i że nie ma tu żadnego tunelu. Nie ma też mowy o przerzuceniu jakiegokolwiek mostu na ową piramidę, z której przeszliśmy na płaskowzgórze. Cóż więc począć? Otóż zwróciłem niedawno uwagę na to, iż gaz lżejszy od powietrza wydziela się z tego gejzera, co mnie oczywiście naprowadziło na myśl o balonie. Przyznaję, iż miałem nieco trudności z wyszukaniem odpowiedniej powłoki na zbiornik gazu, ale widok olbrzymich wnętrzności tych płazów rozstrzygnął i to zagadnienie. Otóż macie rezultaty!

(Dalszy ciąg nastąpi)

**FLUORYZOWANA**  
**PASTA do ZĘBÓW w PASTYLKACH** **FLORIDONT**

**ZAWIERA ZWIĄZKI FLUORU,**

**KTÓRE CHRONIĄ ZĘBY PRZED PRÓCHNICĄ**  
**DOSKONAŁE CZYSZCI NIE USZKADZAJĄ SZKLIWA**  
**PATENT P-R-1 36126 - CENA DET-ZŁ. 2,75** K-747

**Huta Stalowa Wola, woj. rzeszowskie, produkuje wózki akumulatorowe typ EK-2 o nośności 2000 kg.**  
**Dokładną charakterystykę Huta wysyła na żądanie.**  
**Zamówienia składać w Biurze Zbytu Huty.**

K-3940



**K**IEDYS, na schodach, prowadzących do czyjegoś mieszkania spotkałam Marię Morską. Była to jedna z najbardziej niepospolitych kobiet, jakie znałam. Współuczestniczka Pikadora i częściowo jego muza, interesująca deklamatorka, która w zadymionej kawiarence recytowała bardzo sztucznie, ale bardzo indywidualnie wiersze młodych, podbijających Warszawę i Polskę, poetów. Zmarła niestety, zaraz po wojnie.

Spotkałam ją wtedy na schodach, sfrunęła to mnie niejako z góry i stanęła niemal w pół stopnia, patrząc mi w oczy swoim morskim spojrzeniem, jakby właśnie tu spodziewała się mnie zastać i zapytała od razu:

— Czytałaś ostatni wiersz Lilki?

Morska miała rzadki u kobiet zwyczaj nie mówienia o byle czym. Albo miała coś istotnego do powiedzenia i tak było zazwyczaj, albo umiała pięknie milczeć. I teraz, bez zbędnych słów zaczęła od razu, półgłosem recytować:

„Itudą nocą, pod mostem, w Sekwanie  
Płynę kotka, przemokła i śnia.  
Pod następny mostem, niespodzianie  
Przyłknęła się do niej dziewczyna...”

Zdławiła nas za gardło przejmująca piękność tego wiersza i jego przeraźliwa treść. Stojąc na schodach, milczaliśmy długo. Wreszcie Morska powiedziała:

— To największa polska poetka i jeden z największych poetów, chociaż rodzaj męski zupełnie do niej nie pasuje. To esencja kobiecości. Chcesz ją poznać? Przyprawdę ci Lilkę, będzie niedługo w Warszawie.

Maria z Kossaków Pawlikowska, zwana przez bliskich Lilką, była wówczas stosunkowo mało znana i nie miała jeszcze tej rangi pisarskiej, którą jej tak słusznie przyznawała wówczas Morska i która jej się bezsprzecznie należy.

Nawiasem — bo póki nie wyleję żółci trudno mi pisać dalej — jak to można było dopuścić do tego, aby tej miary artystka stała się zupełnie nieznaną, żeby młodzież zwłaszcza, nie miała o jej istnieniu najmniejszego pojęcia. Czyż aż tak jesteśmy zasobni w skarby kultury, że możemy pomijać jedno z najpiękniejszych i najosobliwszych zjawisk w naszej literaturze, poetkę, o której Żeromski mówił i pisał z najczulszą uwagą, którą najwybitniejsi nasi poeci stawiali o bok siebie. Poetkę, która łączy rzadkie mistrzostwo wiersza z najcenniejszym dowcipem, która doprowadziła do doskonałości rzadką zaletę mistrzów, nie często zresztą spotykaną w naszej literaturze — zwieźłość, u której chwytą za serce zarówno pełne serdecznej troski zamyślenie nad człowiekiem, jak nieporównane zjawstwo świata zwierząt i roślin. Jakże się to stało i kto ponosi za to odpowiedzialność. Wyszedł co prawda chyba rok temu (dopiero!) skąpy wybór jej wierszy, drukowany ohydnie, bez tego szacunku dla wiersza, który każe każdemu z nich poświęcić osobną stronę. Ukazał się i natychmiast zniknął, no bo czytelnicy mają nosa i zwyczają co dobre. Teraz zapowiedziany jest znowu wybór, ale dlaczego wybór, dlaczego nie wszystko? Że pierwsze wiersze Pawlikowskiej to salono we błahostki? Ale i w nich jest niedościgły kunszt, a zresztą czemu nie pokazać czytelnikowi jak pogłębiała się i poważniała twórczość poetki.

Ale wróćmy do wspomnień. Tak tedy zjawił się pewnego dnia w moim mieszkaniu uroczy gość. Osobliwym zjawiskiem była poetka. Drobna i ułomna. Teraz przypuszczam, że musiała w dzieciństwie przechodzić chorobę Heine-Medina. Było niezrozumiałe, czemu w całej dorodnej rodzinie ona jedna mia-

I R E N A K R Z Y W I C K A

LILKA

łaby mieć skazy cielesne. A były bardzo poważne: jedna noga krótsza, kłatka piersiowa skrzywiona, ramię ułomne. Czy to w czymkolwiek umniejszało jej urok? Ani trochę. I to mówię o uroku czysto fizycznym. Dowodem tego — trzech mężów i wielu zakochanych. Prawdziwe zwycięstwo ducha nad ciałem, bo dusza tak ją ozdabiała.

Nad ułomną figurką, kunsztownie ukrytą pod różnymi fałdkami, falbankami, szalikami wznosiła się uroczą główką, o delikatnie wygrawerowanych rysach. Twarzyczka Lilki nasuwała dziecinne, czarodziejskie skojarzenia. To była twarz wroźki, cała z płatków różanych, pyłków kwiatnych, przelotnych cieni i łagodnych świateł. Nosek leciutko zaostroszony, różowawy i przeźroczysty jak muszla, usta wrażliwe, małe, zmienne, czasem żalonne, czasem drwiące. Nie tylko ta twarz decydowała o uroku Lilki, ale przede wszystkim wdzięk nieodparty stokroć ważniejszy od urody. Wdzięk w każdym ruchu, słowie, uśmiechu, nikt mu się nie mógł oprzeć.

Kiedy ją wspominam, wciąż mi się pchają na usta słowa: wroźka, czarodziejka, Tytania. Płyne to chyba stąd, że nie było w niej absolutnie nic prozaicznego. Nawet w najbardziej pospolitych warunkach poezja szmerła koło niej nieustannie, jak blisko płynący, ciągle żywy strumyczek. Nie, zle to określić. To była nieustanna sekrecja poezji, wydzielanie wewnętrzne i rozpylanie bezustanne poprzez słowa. Cóż dziwnego, że powstawała koło tej kobiety czarodziejska atmosfera. Był to zresztą najczęściej żart, jakieś nieoczekiwane zestawienie słów, coś co ją samą pobudzało do częstego, cichego śmiechu i łysnięcia w bok, do rozmowy ubawionym spojrzeniem oczu, o ciężkich, melancholijnych zazwyczaj powiekach.

Z Lilką niepodobna było prowadzić zwykłej rozmowy: o zakupach, o polityce, o znajomych. o książkach, a raczej, jeżeli się o takie tematy potrafiło, to i tak nie wynikała z tego „rozsądna” odpowiedź, tylko słowna, albo obrazo-

wa niespodzianka, jakieś skojarzenie, które od razu odrywało temat od powszedniej pospolitości. Ale Lilka mówiła zazwyczaj na swoje własne tematy, których esencję doprowadzoną już na piśmie do ostatecznych granic zwieźłości, przelewała potem w wiersze. Trzeba znać te wiersze, aby zrozumieć, o czym mogła mówić, bo proces tworzenia trwał dla niej niemal ciągle.

Lubiła siadać, wtulona w kącik tapczanu i gryźć coś namiętnie ptasim, albo wiewiórczym sposobem: najchętniej pestki, albo bób gotowany, mocno posolony, czy też orzechy. Mięsa nie jadła nigdy i przepyszy jej wiersz „O mięsożercach” był wyrazem prawdziwego wstrętu. Siedziała, jak uroczę zwierzątko w norce, gryzła coś, gryzła przedziwno podśmiechując się krótkim, gardłowym śmiechem, nieco ptasim. Mogła opowiadać długo i uroczco o wiewiórcę, albo mieniącymi się słowami malować motyla, czy liść, albo pochylonego na ulicy staruszka.

A obok poezji, nierozdzielnie z nią związany, tryskał wesoły promyk dowcipu, bo Lilka była osobą niezwykle, wysokiej klasy dowcipu. Sama śmiała się cichutko ze swoich nieoczekiwanych skojarzeń, skrótów i zagęszczeń i sypała uroczymi słowami, nie wymawiając litery r. Otaczała jakąś hipnotyczną mgiełką swego rozmówcę, który natychmiast podpadał pod jej władzę i zaczynał go od razu bardzo nudzić jego własne, osobiste sprawy, kłopoty, radości, tak prostackie, grube, nieporadne w tym świecie ze snu nocy letniej. Tym czarem przypisuje, że Lilka, mimo swej ułomności tak bardzo była przez mężczyzn kochana.

Odwiedziłam ją kiedyś w rodzicielskiej Kossakówce w Krakowie. Najpierw przyjęła mnie w salonie bardzo uprzejma i dystygnowana pani Kossakowa, po tym błysnął przez chwilę piękny, dorodny, siwy, jakby na przekór młodzińczej postaci Wojciech Kossak, wreszcie służący poprosił mnie na górę do pani Jasnorzewskiej. Lilka wówczas wyszła po raz trzeci za

mąż za młodziutkiego lotnika i poczęła się podpisywać jego nazwiskiem, czego żadną miarą nie można było uznać za słuszną, była już bowiem sławna, jako Pawlikowska, no i pisarz powinien trzymać się swego nazwiska, utrwalonego w literaturze, a nie uzależniać go od prywatnych spraw. Ale zdaje się, urzekła ją zaranna jasność nazwiska — w świecie wrożeń takie rzeczy mają znaczenie. Może też chciała, aby na chłopca, który mimo różnicy lat, dał jej wielką miłość, spłynęła bodaj cząstka jej rozgłosu.

Tak tedy po splendorach dostojnego parteru Kossaków zostałam wprowadzona na pierwsze piętro, do pokoju poetki. Widoku, jaki tam zastałam nigdy nie zapomnę. Pokój był bardzo duży, panował w nim niezwykle nieład. Na pięknym stole, pośrodku, stała maszynka spirytusowa, leżały używane pończochy, stało jakieś jedzenie i wałęsały się różne, nie sprecyzowane bliżej części ubrania. Na obszernym łóżku, na poduszce i pod koldrą leżała Lilka w futrze — tak jest, pod koldrą, w futrze — a przy kłacie błysnęły olbrzymi pęk wspaniałych, parmeńskich fiołków. Co chwila pochyłała starannie uczesaną głowę, bo bynajmniej nie była zaniedbana koło siebie i swoim finezyjnym noskiem muskała kwiaty.

Po pokoju krzątał się młodziutki mąż, przyrządzał kawę, nakrywał, podawał. Kiedy się spogłądało na tę parę, było zupełnie jasne, że to właśnie chłopięcy Lotek, jak go nazywała żona (że lata — lotnik) jest śmiertelnie zakochany i było to zupełnie naturalne. Są ludzie nad którymi lata nie mają władzy, no i jakżeby można Lilki nie kochać. Przyjmowała objawy jego czułości i dbałości z uroczym, nieco rozlęknionym uśmiechem — była do nich przyzwyczajona. Biedny Lotek nie umiał utrzymać porządku w pokoju, ale umiał dbać o ukochaną kobietę. Daleko mu było do wyrafinowanego intelektualizmu, ale na wartości i na niezwykłych wymiarach duchowych Lilki poznał się z nieomylnym węchem natur prostych, szczerych i wybrednych. Jego miłość nie zachwiała się do końca. Kiedy poetka umierała w czasie wojny, w Londynie, umierała ciężko, boleśnie na raka, nie odstąpił jej i śladko musiał być Lilce czuć wśród powszechnej zgrozy, której dała wyraz w ostatnich swoich utworach i wśród własnej zgrozy przed nadchodzącą ciemnością, jego przywiązanie i widzieć, jak się pochyła nad nią jego ładna, młodzięcza twarz.

Ta poetka, która dotychczasową swoją nieślaską kulturalnych „czynników” zawdzięczała rzekomemu odwróceniu się od życia i brakowi „wydźwięku” w poezji, bynajmniej nie była obojętna na sprawy społeczne, na przemiany polityczne. Nie należała do natur walczących. Zbyt była krucha i delikatna, ale zaznaczała wyraźnie swoje stanowisko, stanowiący w okresie międzywojennym wyraźnie wśród grupy postępowych pisarzy. odcieła się zdecydowanie od prawicy (choćby wiersz: „Prawy poszedł na prawo — nieprawy na lewo — więc go teraz prowadzą pod wielkie drzewo”). Na emigracji, już chora, nie stanęła nigdy po stronie tych, którzy zaparli się swego Kraju. Przed śmiercią szepnęła Antoniemu Słonimskiemu, z którym łączyła ją serdeczna przyjaźń: „Powiedz im Tam... że jestem z nimi”.

Już najwyższy czas, aby była z nami naprawdę, zawsze obecna w swoich wierszach.

I R E N A K R Z Y W I C K A

Maria Jasnorzeńska-Pawlikowska

## CZTERY POCAŁUNKI

### WIELKI WÓZ

Wędrujemy cygańskim obozem,  
nocujemy w gwiaździstej grozie,  
dzisiaj pod Wielkim Wozem,  
jutro na Wielkim Wozie...

### LA PRECIEUSE

Widzę cię w futro wtuloną,  
wahającą się nad małą kałużą,  
z chińskim pieskiem pod pachą, z parasolem i różą...  
I jakże ty zrobisz krok w nieskończoność?

### FOTOGRAFIA

Gdy się miało szczęście, które się nie trafia:  
czyjeś ciało i ziemię całą,  
a zostanie tylko fotografia,  
to — to jest bardzo mało...

### SŁOWIKI

Słowiki są dziś nieswoje.  
Bzy są jak chmury krzyżyków.  
Chcesz zabić serce moje?  
Przecież się nie zabija słowików?









## SPORT



**Mouri**  
**Edward Koczbą**  
bramkarz hokejowy,  
mistrz sportu

— Czy pan prowadzi statystykę spotkań hokejo-

wych, w których pan brał udział? — zapytuje naszego znanego hokeistę Koczba.

— Początkowo zapisywałem sobie różne dane z moich meczów. Niestety wkrótce się zagubiłem. Tyle się gra i gra. W samych tylko spotkaniach międzynarodowych grałem w bramce jakieś 30 razy. Spotkań krajowych już bym nie liczył. Bramkarzem hokejowym jestem już przecież osiem lat.

— A które spotkania najbardziej pan utkwiły w pamięci?

— Oczywiście nasz turniej o mistrzostwo świata w Krefeld ubiegłej zimy. Mielismy tam siedem spotkań. Zajęliśmy siódme miejsce i to tylko gor-

szym stosunkiem bramek. Punktów uzyskaliśmy tyle samo, co zdobywca miejsca szóstego. Wiadomo, jakie to potęgę hokejowe mają decydujący głos: ZSRR, Kanada, Czechosłowacja. Wierzę jednak i w nasz hokej i nie wątpię, że w przyszłości zdobywać będziemy lepsze lokaty, nawet w walce z najlepszymi.

— Czy pan zawsze grał tylko w bramce?

— Uprawianie sportu zacząłem do tenisa. Byłem wówczas sprzedawcą księgarskim w Krynicy. (Mój ojciec jest pracownikiem administracyjnym w zarządzie tego uzdrowiska). O hokeju mi się nie śniło, jak w ogóle o tak zwanej „karierze” zawodnika. Grywałem, ot, tak dla przyjemności i wcale do rewelacyjnych wyników nie doszedłem. Potem zacząłem grać trochę w hokeja, najpierw w ataku, a dopiero po roku w bramce. Uważam, że mój tenis bardzo mi się przydał i zalecam go teraz każdemu

bramkarzowi hokejowemu.

— Na czym polega to powiązanie tenisa z hokejem?

— Tenis wyrabia znakomicie to, co nazywamy szybkim refleksem: błyskawiczną reakcją na najszybszy nawet ruch. Dobry bramkarz hokejowy musi mieć ten refleks rozwinięty w takim stopniu, żeby niemal przewidywał co się stanie przy jego bramce w najbliższej jednej dziesiątej części sekundy. Trzeba nieraz wprost uprzedzić przeciwnika, przewidzieć jego ruchy i zamiary.

— Czy w księgarstwie pracuje pan nadal?

— Nie, niestety porzuciłem ten zawód, aczkolwiek jestem nadal bardzo przywiązany do książki. Do dobrej książki. Obecnie jestem instruktorem gry w hokeja. Uczę młodych i ambicją moją jest wychować dla naszej reprezentacji Polski nowych dobrych bramkarzy.

— Szkoda, że syn pana nie jest starszy — mógłby pan je-

go mianować swoim następcą!

— Rzeczywiście, nie pomyślałem o nim. Trudno jednak robić takie plany, skoro mój syn ma dopiero... cztery miesiące.

— A córeczka?

— Dwa latka.

— Tak. Są nawet za małe, żeby przyjąć na mecz hokejowy i podziwiać grę swego taty.

— Na mecze w których gram, nie przychodzi nawet moja żona, mimo tego, że bardzo lubi hokeja. Żona mówi, że nie może patrzeć spokojnie, gdy stoję w bramce, a we mnie strzelają krąki hokejowemu. Zawsze jej się zdaje, że mi krąki rozbije nos lub oko.

— A na innym meczu, gdy w bramce stoi inny bramkarz, czy pana żonie nie przychodzi to na myśl?

— Widocznie nie. Widzi pan, jakie są kobiety!

Rozmawiał i fotografował  
S. T. WROTONY

## WIZYTA

DOKOŃCZENIE ZE STRONY 13-lej

złuda, wywołaną straszliwym zawrotem głowy.

Malarz poddał się więc przeznaczonemu, rozkrzyżował ramiona i runął bezwładnie w przepaść bez dna. Podczas upadku wydał mu się z gardła straszliwy ryk zgrozy. Ten

ryk, jak później sobie uprzytomnił, powrócił mu świadomość.

Poczuł że żyje, że nic mu się nie stało. Wtedy rozwarł ostrożnie powieki i spostrzegł, że leży na swoim tapczanie z poduszką na głowie i kołdra zsunięta na ziemię. Resztki snu pierzchały powoli. Przetarł więc oczy i zauważył w lewej dłoni małą ćwiartkę papieru.

Była to zwykła kartka pocztowa.

Profesor, nie mogąc stawić się w pracowni, gdyż został wezwany nagle do Zakopanego, wypisał na niej swoje wskazania o sztuce.

Malarz poprawił włosy, przyglądał się „wicher”, jaki mu się utworzył na czubku głowy i widząc na stoliku, stojącym obok tapczana, niedopitą butelkę wódki, wypróżnił jej zawartość, po czym, pokrze-

piony na duchu, przeczytał na niej świeżo kartkę Profesora.

Tekst tym razem przedstawił mu się na tyle jasno, że z wielką ulgą spojrzął na czyste, niezamalowane płótno, czekające na portret Profesora. Po czym — czując się nerwowo bardzo wyczerpanym — poprawił poduszkę, nakrył się kołdrą i zapadł w głęboki sen.

**Andrzej Pronaszko**

## PLASTYCZNY SZLAGIER

DOKOŃCZENIE ZE STRONY 12-TEJ

oto maszyna, która nazywa się wtryskarka; proszę, z tej strony wysypuje się proszek steeleonu lub octanu celulozy, a z tamtej strony wypada gotowa oprawka do okularów...

**Szkło nie jest szkłem**

Włókno szklane jest elastyczne, miękkie. A kiedy włókno to związać specjalną żywicą z masy plastycznej, tzw. żywicą poliestrową — szkło przestaje być szkłem zupełnie. Staje się natomiast laminatem, czyli płatem materiału, z którego robi się części do samolotów, karoserie do samochodów, łodzie wyścigowe i jachty. Po Warszawie krąży już jeden skuter obudowany próbnie laminatem: jego karoseria waży 20 kg, czyli o 20 kg mniej niż karoseria metalowa. Pracownia poliestrowa Instytutu przygotowuje obecnie poliestrową żywicę na karoserie do samochodu osobowego „Syrena”. Proszę spojrzeć: te mało efektowne, lekko przeźroczyste płyty są wytrzymałe jak stal, lekkie, giętkie, niepalne i nieulegające korozji.

— No dobrze, ale te rzeczy znane są na świecie, wystarczy wziąć fachową literaturę?...

Mgr Zofia Kłosowska, całkiem młoda i całkiem niechemicznie wyglądająca osoba, prostuje te heretycką uwagę laika: „W literaturze nie ma „wszystkiego”, nie ma gotowych recept. Trzeba samemu znaleźć własne surowce i własne sposoby”. Pozostaje tylko

żyć — najszybszych poszukiwań.

**Plastyczny szlagier**

Nazywa się: żywica epoksydowa. Służy do produkcji lakierów, klejów i — przede wszystkim — stosuje się ją zamiast izolacji olejowej. Ma jakieś zupełnie niezwykłe własności elektryczne. Za rok znajdzie się w produkcji przemysłowej. Na razie gotują ją tu w setkach kolb i słoików, mieszają z lakierami w atmosferze dwutlenku węgla. Jest to najnowsza dziedzina chemii, niemożliwa i wielka nadzieja epoki tworzy sztucznych.

**Piana ze śmietany**

Nie, nie nadaje się do jedzenia. Doskonale natomiast zastępuje korek, np. do pływaków sieci rybackich. Produkcja tego dziwnego materiału odbywa się całkiem gastronomicznie. Białą mąkę (polichlorek winylu) urabia się z płynem (zmiekczacem) oraz roztworem — na ciasto o wyglądzie gęstej śmietany. To „ciasto” piecze się w zamkniętych formach, pod wpływem temperatury wydzielają się gazy, a ciśnienie wzrasta do kilkuset atmosfer. Po ochłodzeniu otwiera się formy. Tak wypieczone „ciasto” zanurza się do gorącej wody, w której ono rośnie i staje się ciałem porowatym. Rezultat: „pianką” — materiał 14-krotnie lżejszy od winiduru (ciężar 0,1—0,2), minimalnie zanurzający się w wodzie.

**Metale można lepić**

Pechowe brytyjskie „Comety” miały duraluminiowe skrzydła, spajane klejem z żywicy syntetycznej. Ale katastrofy tych pasażerskich odrzutów nie mają nic wspólnego z klejem. Przeciwnie, stwierdzono, że po upadku metal popękał i potrzaskał, ale klej nie puścił. Niektóre takie kleje wytrzymują naprężenie do 400 kg na centymetr kwadratowy i są pewniejsze od gwoździ, nitów i spawania. Najgorzej jest z klejeniem... samych mas plastycznych, zwłaszcza zupełnie nielepne winiduru. Pracownik Instytutu, Jerzy Iskra, znalazł metodę klejenia winiduru z betonem, metalem, ceramiką i samym winidurem.

**Nawet pod ziemią...**

...zaczynają się rozpychać tworzywa sztuczne. W kopalni „Gottwald” w Stalimogrodzie od czerwca 1955 roku pracuje nienagannie 50-metrowy odcinek taśmy przenośnikowej z polichlorku winylu (pomysł inż. Mariana Hetmana). Taśma ta — w przeciwieństwie do stosowanych dotychczas — jest zupełnie niepalna i znakomicie zwiększa bezpieczeństwo pracy w kopalniach.

**Psychoza nylonu**

Trwa już od II wojny światowej. Nie trzeba iść aż do Instytutu Tworzyw Sztucznych, by jej się poddać. Wystarczy czytać gazety, patrzeć na wystawy sklepowe (głównie zagraniczne), ubierać się nowocześnie, nowocześnie mieszkać

i pracować. Każdej niemal chwili życia towarzyszy jakiś „nylon”, który czasem jest naprawdę nylonem a czasem inną masą plastyczną. Zachwycamy się nim, bo jest ładny lub praktyczny, czasem wręcz niezastąpiony. I oto jesteśmy świadkami szaleńczej kariery materiałów, które narodziły się w laboratoriach uczonych jako resztki z rozmaitych reakcji, jako jakieś smółki, z którymi długo nie wiadomo było co zrobić. W połowie naszego wieku wypierają one niemal wszystkie materiały tradycyjne, uznane dotąd za doskonałe. Dziś nikt nie ma już wątpliwości, że niezawodne są sztucznie wytworzone: liny okrętowe, włókna techniczne i odzieżowe, materiały izolacyjne, łożyska i koła zębate (z warstwowego tekstolitu), szkło, świecące w nocy masy plastyczne, lakiery, skóra, kauczuk (syntetyczny) — wyższa naturalny: jest mrozoodporny, nie starzeje się, nie podlega działaniu cieczy chemicznych i — tyś się innych materiałów. „Nylon” podbił świat.

**Jak się nie poddać**

**psychozie...**

...skoro — dla przykładu — z jednego metra sześciennego drewna można drogą chemicznej przeróbki, wyprodukować tyle sztucznych jedwabiu, ile daje 300 tysięcy kokonów! Jeden jedwabnik przez całe swoje życie wydziela zaledwie pół grama jedwabiu. W fabryce w ciągu jednego dnia produkuje się go kilka ton.

**Kto powiedział że cudów nie ma?**

Oczywiście, są. Dzieją się codziennie w setkach laboratoriów, w dziesiątkach fabryk. Są to cuda bardzo materialne, ale synteza chemiczna graniczy dla laika ze światem irracjonalnym. Synteza chemiczna zachodziła tysiące lat samorzutnie w przyrodzie, aż pewnego dnia człowiek nauczył się według swej woli tworzyć związki chemiczne z pierwiastków. Nauczył się naśladować przyrodę, obecnie zaś — uśmiał się zdystansować. Większość mas plastycznych już dziś nie ma odpowiednika w materiałach naturalnych i posiada cechy takie, jakie człowiek zapragnął im nadać. Węgiel, woda i powietrze są produktami wyjściowymi do tych chemicznych procesów przemysłowych, odbywających się w temperaturze od minus 200 stopni do plus 2500, w ciśnieniu od głębokiej próżni do 1000 atmosfer.

**To jest epoka!**

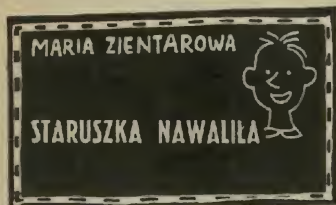
Przyszła razem z energią atomową, ultradźwiękami, półprzewodnikami, radarem i antybiotykami. Stworzyła z naszego stulecia okres genialnych odkryć i wspaniałego rozkwitu nauki.

**Tyle widział reporter**

I tyle wam przekazał. Pozostałe informacje o epoce tworzyw sztucznych, w której wszyscy żyjemy będziecie zbierać we własnym zakresie.

**OLGIERD BUDREWICZ**





— Gdzie on mieszka? — zapytał Andrzej przy niedzielnym obiedzie.

— Na Placu Konstytucji — odpowiedział ojciec Janka, nakładając sobie na talerz większą porcję buraczków.

— Taki mały i mieszka na Placu Konstytucji? — zdziwił się Janek.

— Ja nie wiem czy ja pójdę do takiego żłobkowca — Andrzej wypchał sobie policzki olbrzymią porcją kartofli. — On ma dopiero osiemnaście miesięcy i pewnie nawet nie gada.

— Pojedziemy tramwajem — zachęcała matka Janka.

— Byczo — zdecydował Andrzej — a czy mama umie się czepiać?

— W niedzielę nie ma czepiania — Janek opuścił sobie na kolana łyżeczkę buraczków i zaczął je dyskretnie rozmazywać po spodniach.

— Ja szalenie lubię jeździć tramwajami w ogóle. Czy tata lubi jeździć?

— Bardzo — oświadczył ojciec Janka.

— A tata dużo podróżował?

— Pewnie.

— A tata był w Zakopanem?

— Byłem.

— A w Krakowie.

— Też.

— A w zagranicy?

— Za granicą.

— Gdzie tata był za granicą?

— Nigdzie nie byłem za granicą — zdenerwował się ojciec Janka. — O, cały się umazałeś buraczkami.

— Dlaczego tata nigdzie nie był za granicą?

— Jakoś nie byłem. Masz tu serwetkę i wytrzyj zaraz te spodnie i łapy, bo dostaniesz.

— A czy tata kiedy wyjedzie za granicę?

— Nie wyjadę.

— A mama?

— Może.

— To może tata też później wyjedzie — pocieszał Janek ojca. — Jak ja będę dorosły to będę wielkim podróżnikiem. Będę jeździł po całym świecie i będę zbierał znaczki pocztowe.

Matka Janka przybiegła z kuchni, niosąc na tacy salaterkę z kompotem.

— No, zjadajcie szybko, bo musicie się przebrać, umyć łapy i zaraz jedziemy na te imieniny — powiedziała.

Rozdzieliła kompot.

— Janek, zlituj się! — krzyknęła nagle. — Jesteś cały w buraczkach! Marsz natychmiast do łazienki i umyj się. Ciepłą wodą — dodała.

Janek natychmiast bez słowa wstał od stołu i pędem pobiegł do łazienki.

— Gaz się nie chce palić — zawołał stamtąd po chwili. — Nie będzie ciepłej wody. Wieczorem nie będzie kąpeli!

— Dlaczego nie ma gazu? — zdziwiła się matka Janka.

— Nie wiesz? — Andrzej zaśmiał się tryumfalnie — staruszka nawaliła.

— Czyś ty oszalał?

— Bo ty gazet nie czytasz — stwierdził Andrzej sucho — mówiłem to tacie już kilka razy. Ty wcale nie czytasz gazet, tylko je zbierasz na podpałkę. W gazecie było, że gazu nie będzie, bo staruszka nawaliła.

— Jaka znowu staruszka?

— Staruszka warszawska.

— Ty masz źle w głowie. Jak to staruszka warszawska?

— No, gazowa jubilatka. Niech mama czyta „Życie Warszawy“.

— Jaka znowu jubilatka. Tobie się coś pokreśliło.

— Co chcesz od dziecka? — zachnął się ojciec Janka. — Rzeczywiście tak pisano. Gazownia warszawska ma sto lat i coś w niej oczywiście nawaliło.

— Ale niech mama się nie martwi — zatrzymował Andrzej. — Czekaj ją na przyszły rok odmładzająca kuracja. Oczyszczaj jej rury, bo ona nie może zaspokoić milionowej stolicy. Tak pisali.

— W zeszłym roku, kiedy on jeszcze nie umiał sam czytać, był jednak większy spokój w domu — westchnęła matka Janka. No, jazda, leć do łazienki i myj też ręce. Zimną wodą — dodała.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## KRADZIEŻ „DAMY z ŁASICĄ” w Krakowie!

SENSACYJNY  
REPORTAŻYK  
ZGADYWANKA



1. Detektyw Seweryn Oko od dawna ma już na oku Baltazara Chwastę, kilkakrotnie karanego przestępcę. Zauważył, że od jakiegoś czasu Chwast często odwiedza krakowskie muzea. Ponieważ Chwast mieszka w podmiejskiej dzielnicy Cichy Kącik, Oko chętnie tam się kręci. Dziś spotkał Chwastę wracającego do domu w towarzystwie kociaka. Na tej wąskiej, zakurzonej drodze, jedynej która wiedzie z miasta do Cichego Kącika, trudno się nie zobaczyć. Toteż Oko nie próbuje się kryć. Baczynym wzrokiem mierzy dziewczynę. Mimo, iż zmęczona długą wędrówką i upałem, z ożywieniem rozmawia ze swym towarzyszem. „Oho! — myśli Oko — coś knują“.



2. Trzy dni później Oko przebywa — tym razem samochodem — tę samą uciążliwą drogę do Cichego Kącika i zjawia się w mieszkaniu Chwasta. Ten, jak gdyby zdziwiony niespodziewaną wizytą pośpiesznie nakłada szlafrok, ale Oko i tak zdążył już dojrzeć świeżutki siniec na ramieniu podejrzanego. Poza tym jedynym znakiem szczególnym, Chwast wygląda na wytwornego człowieka. Jego napomadowane włosy, zczesane w piękną plerezę lśnią równie nieskazitelnie jak i jego wyblyszczone, czarne półbuty. Dodają mu elegancji spodnie o nieskazitelnie zaprasowanych kantach. „Tak! — pomyślał Oko. — Pozory nieraz mylą“. Po tem przedstawia się i mówi:



3. — Pół godziny temu było włamanie do Muzeum Czartoryskich. Nieznani sprawcy — po terroryzowaniu dozorcę — skradli obraz „Damy z łasicą“ i zbiegli samochodem. Mam pewne powody przypuszczać, że i pan tam był, panie Chwast. Czy mogę wiedzieć, co robił pan 30 minut temu? Jest to pierwsza sprawa, którą musimy dokładnie ustalić. Chwast wybiegł się zaskoczony tą całą sprawą. — Coś takiego — wykrzykuje — „Dama z łasicą“! Oczywiście, że nie mam z tym nic wspólnego, ale chętnie odpowiem, jeśli może to panu pomóc. Pół godziny temu znajdowałem się w drodze powrotnej z miasta do mieszkania.



4. — Ile czasu zajął panu ten powrót? — pyta Oko, patrząc nań przenikliwie. — Około 45 minut — odpowiada Chwast. — Bo szedłem piechotą, a sam pan wie, że to jednak kawał drogi. I ten upał... Dosłownie kilka minut przed pańskim przyjściem wszedłem do mieszkania. Zaczęłem się właśnie przebierać, ale zdążyłem tylko zdjąć koszulę i nakładałem szlafrok, gdy pan zadzwonił. Wybacz więc pan mój strój... Oko uśmiechnął się ironicznie i wyciągnął rewolwer: — Proszę nie stawiać oporu, Chwast. Pańskie alibi jest fałszywe, wiemy o tym obaj równie dobrze. Aresztuję pana pod zarzutem dokonania kradzieży!

**CO UTWIERDZIŁO** Seweryna Oko w przekonaniu, iż Chwast podał fałszywe alibi? **ZASTANÓW-CIE SIĘ**, a Wasze domysły sprawdźcie później z rozwiązaniem, które zamieszczamy wewnątrz numeru. **WIEDZCIE** jednak, że jest ono tym razem specjalnie dobrze ukryte!

TO  
i OWO

Podczas przedstawienia „Kopciuszka“ Prokofie-

wa w moskiewskiej operze, na którym byli obecni francuscy aktorzy przed sobą Danielle Darrieux, Dany Robin i Gerarda Philipe'a pojawiła się biała włóczkowita, z przywieszoną do

njej kartką czystego papieru. To jedna z moskiewskich studentek śledząca na „Jaskółce“, o kilka pletér wyżej ponad łóżą francuskich gości spruła rękaw swego białego swetra i u-

mieściła na niej ową kartkę. W ten sposób zdobyła ona cenne dla niej autografy, nieustannie obleganych przez tłumy wielbicieli aktorów.

★



HOŁD

WYBIERAM

SIĘ NA

# Zabawę

**FILM Z ŻYCIA MŁODEJ PARY (małżeńskiej) W SOBOTĘ KARNAWAŁOWĄ ROKU 1956. WSZYSTKIE DANE Z ZAKRESU MODY AUTENTYCZNEJ FOTOREPORTAZ HOFF-MAJEWSKI**



## U M Y



LAM głowę, wykąpałam się, zrobiłam sobie manicure. Polakierowałam paznokcie (teale, bez zostawiania księżyców) jaśnym, różowym lakierem (ciemne lakiery niemożliwe). Zanim lakier zupełnie zaschnął, wkładałam na chwilę palce pod strumień zimnej wody: w ten sposób lakier lepiej się trzyma. Przynajmniej tak mówią

Gdy paznokcie są już suche, wkładam bielinę i pończochy. Pończochy wkładam w rękawiczkach, by się nie zadarły. Naprzód wciągłam czubek stopy (kulak palce do dołu), potem starannie naciskam piętę pończochy, tak by była dokładnie na swoim miejscu, wreszcie obciagam lydkę, baczając by szew był równy



Wkładam wieczorowe klipsy. Wskazane są klipsy wiszące. Mąż ostrzega, że klipsy nie będą pasowały do naszyjnika (o naszyjniku będzie dalej). Na to mu odpowiadam, że wcale nie muszą pasować. Tak zwane „komplety” sztucznej biżuterii nie są krzykiem elegancji



Próbuję, czy uda mi się ułożyć z włosów modny „płaski kok” (coś w rodzaju dzieciennego loku, ułożonego na tyle głowy). Ale mam jeszcze na to za krótkie włosy. Może zdążą podrosnąć do tej fryzury na Ostatki. Zostaję więc w mojej odrastającej fryzurze na razie



Wkładam korale, dużo sznurków coraz dłuższych: szczyt mody! Mogą to być „perły”, ale niekoniecznie. Co prawda, o perły jest najłatwiej. Mąż wkłada muszkę. Powinna być właściwie długa i wąska. Ale chłopiec nie ma jeszcze modnej, więc kładzie taką jaką ma



Do mojej sukienki „A”, która to linia na wieczór wciąż jest modna, można by włożyć szarfę. W zeszłym roku wkładałam. Teraz mąż twierdzi, że szarfa nie pasuje kolorem do sukienki (wykształcił się!). A zresztą jeśli szarfa, to już nie może być widać halki. A halka modniejsza. Rezygnuję



Jestem gotowa. Ostatni rzut oka na męża. Przepisowe czarne ubranie z małymi i wysoko zapiętymi klapami, bez kamizełki, biała chustka w kieszonce, biała koszula (mankiety wystają), muszka (choć mógłby być też gładki ciemny krawat), jednym słowem zdawałoby się, wszystko w porządku...



...gdyby nie włosy. Ten wysoki czub nad czołem niemożliwy! Mąż broni się, że właśnie z takim czubem mu do twarzy. Co tam do twarzy, skoro się nie nosi. Muszę przecieć z modnym chłopcem wystąpić na zabawie. Bez miłosierdzia ścinam czub nożyczkami. Wyszło nierówno, ale to nie nie szkodzi



A teraz zjemy po dwie kanapki, żeby na zabawie nie wydać za dużo pieniędzy na odżywianie. Zresztą wiadomo, że z początku trudno tam będzie dopchać się do bufetu. Jem ostrożnie, żeby nie rozmazać sobie konturów pomalowanych warg. Przed wyjściem usta jeszcze poprawię



Dziś Lucynka i Paulinka,  
jako autorki pocztówki  
świętecznej pt.

## NASZE MAŁE ŻYCZENIA

Wygodnych bucików  
muzykalnych danserów  
silnej woli w odchudzaniu  
szybkiego odrośnięcia koka  
gładkiej cery  
miłych telefonów  
długowiecznych nylonów  
pogody na zimowych  
wczasach  
trwałej bez baranka  
trafnego wyboru kapelusza  
cierpliwości do szczotkowa-  
nia włosów  
zdolnych do dyskrecji  
przyjaciółek  
niegniących klipsów  
bladego nosa  
odwagi do pójścia do  
dentysty  
udanych majonezów  
skończenia robótki  
pomoru na mole w szafie  
pogodzenia się z sąsiadką  
wytrwałości w rannej  
gimnastyce  
dobrego humoru  
wstrzegania się piątego  
grzechu  
uprzejmych sprzedawczyń  
równych plis na spódnice  
kwiatów od anonima  
nie gubienia  
nowej sukienki  
punktualnych pralni  
nieżonatych wielbicieli  
starannego demakijażu  
przed spaniem  
dobrego gustu dających  
prezenty

prasowania bez przypalania  
prania bez puszczania farby  
natchnienia przy sprawun-  
kach  
niepsujących się zamków  
błyskawicznych  
małych ogonków  
niestraconych niedziel  
siedzących miejsc w podróży  
kosmetyków z dobrego  
transportu  
abstynencji od niepotrzeb-  
nych wydatków  
spadania kromki masłem  
do góry  
pozbycia się przesady, iż  
wełniane pończochy  
pogrubiają i że  
danser musi być  
wyższy

zdobycia członków na cien-  
kim obcasie

wysprzątanych szuflad  
łatwych wstawiań z łóżka  
podwyżki  
dobrej zabawy na Sylwestra

ŻYCZA Z OKAZJI ŚWIĄT  
CZYTELNICZKOM

„PRZEKROJU”

LUCYNKA I PAULINKA

# ZŁOM — ZŁOM — ZŁOM!

## KONKURS Centralnego Zarządu Gospodarki Złomem

polega na ułożeniu hasła propagującego zbiórkę złomu.

**WARUNKI KONKURSU:** może w nim brać udział każdy Czytelnik „Przekroju”, który nadeśle do naszej redakcji (Kraków, skrytka pocztowa nr 560) w terminie do 3 stycznia 1956 r. jedno lub dwa, a najwyżej trzy hasła propagandowe. Hasła te mogą, ale nie muszą być wierszowane. Piszcie także hasła prozą! Za najlepsze hasła zostanie przyznanych 30 nagród.

**UWAGA:** Wasze hasła przysyłajcie na zwykłych kartkach papieru. Ten konkurs nie ma i nie wymaga żadnego kuponu.

Hasła o złomie mogą być nadsyłane w tej samej kopercie łącznie z rozwiązaniami naszych konkursów ze strony 8.

Na kopertach z rozwiązaniami należy napisać **KONKURS** i koniecznie adresować w ten sposób: Redakcja „Przekroju” Kraków, skrytka pocztowa 560.

Dla ułatwienia układania nowych hasel podajemy cztery przykładowe hasła popularyzujące zbiórkę złomu:



Złom — to w domu zbędny bagaż,  
gdy go zbierasz — dopomogasz.

Złom leży tu, złom leży tam,  
a w hutach jest potrzebny nam.

Złom — to cenny surowiec dla przemysłu.

Braży niemożne, zbędne mosiądze  
to są w postaci złomu — pieniądze.



## LISTA NAGRÓD

1. Radioodbiornik „SYRENA” (6-lampowy z magicznym okiem).

2. Rower męski, półwysigowy „Tourist” (produkcji czechosłowackiej).

3—4. DWA radioodbiorniki „PIONIER” (4-lampowe w drewnianej obudowie).

5. Adapter do płyt długogrających.

6. Popelinowa wiatrółka męska.

7. Walizka skórzana.

8. Teczka skórzana.

9—10. Dwie ładne lampy na biurko.

11. Czajnik elektryczny.

12—13. Dwa wieczne pióra ze złą stalówką.

14. Skórzany męski portfel.

15—17. Trzy pary damskich pończoch ze stielonowych.

18—20. Trzy komplety Dziel Tuwima (Poezje i Kwiaty polskie).

21. Zegar ścienny.

22. Piłka do siatkówki.

23—30. Osiem ołówków automata-  
tycznych.

Nagrody dla Czytelników ofiarowane są przez Rej. Zbiornicę Złomu w Krakowie

**P**ĘKNIĘTY moździerz, dziurawe garnki, puszki z konserw, zużyte tuby z pasty, stare i uszkodzone klamki, zyrandole, lich-  
tarze, mosiężne kłany, polamane tyzki i widelce, kapsle z butelek po piwie i wodzie mineralnej, pudełka z pasty... Dość. Na pewno każdy z was mógłby jeszcze przez wiele minut sam wyllewać podobne rupiecie, jakie bez trudu znalazłby w swoim miesz-  
kanlu. Leży to po kątach w piwnicy lub na stryżku, bo „może się przydać”.



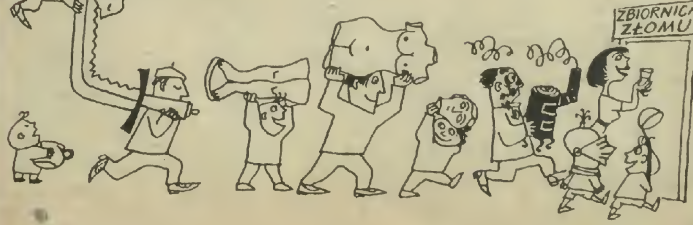
Przy okazji jakichś porządków, choćby ostatnich — świątecznych, przekłada się to wszystko z kąta w kąt, albo po prostu wyrzuca na śmietnik. Skutek: podwójna strata, bo właściciel tych beużytecznych przedmiotów traci sporo złotych, a nasza gospodar-  
ka cenny surowiec — złom.

Choćby takie kapsle do butelek. Z pozoru bezwartościowa blaszka, ale tych blaszek można by zebrać rocznie w naszym kraju cały pociąg i wytopić z nich kilkadziesiąt ton warto-  
ściowego metalu — cyny.

Czytaliście może gdzieś w poczekalni albo w tramwaju takie hasło — wezwanie:

„Huty czekają na złom, który jest nieodzownym surowcem do produkcji stali”. To, co dla milionów rodzin w mieście lub na wsi jest beużytecznym rupieciem, po zebraniu i przetopieniu nabiera wartości stali. Łatwo więc zrozumieć, że każdy zebrany kilogram złomu, to wzrost produkcji pa-  
rowozów, mostów, maszyn rolniczych, samochodów pralek elektrycznych itp.

We wszystkich miastach i wsiach istnieją punkty skupu złomu. W punktach skupu można sprzedać wiele z tych rzeczy, które beuży-  
śnie wyrzuca się na śmie-  
tnik, lub które bez pożytku leżą w każdym mieszkaniu. Ceny płacone za złom są róż-  
ne np. 1 kg miedzi — 6 zł, za złom aluminiowy 3 lub 4 zł, za złom cyny 40 zł. Jeśli ktoś jest zbyt leniwy, aby odnieść złom do punktu skupu, niech skorzysta z pomocy młodzieży szkolnej, komitetu rodzicielskiego, komitetu blokowego czy też jakiegokolwiek innej organi-  
zacji społecznej.



Rysunki J. Smólskiego

Teraz robię makijaż. Pudruję się b. lekko i tylko nos. Brzoki warg pociągają ciemniejszą pomadką, a potem całe wargi maluję pomadką jasną. Policz-  
ków nie maluję wcale. Brwi niech będą jak najszerzej. Maluję lekko górne rzęsy, kła-  
dąc szczególny nacisk na ze-  
wnętrzne kąciki (na fot.).  
Dolnych nie maluję wcale

Teraz halka. Nowość! W „Prze-  
kroju” jeszcze o tym nie było.  
Halka ma wystawać spod su-  
kienki. Obszywa się halkę sze-  
roka kołonek (10 cm) ufarbo-  
waną na kolor kontrastowy do  
koloru sukni. Więc jeśli suknia  
niebieska, to kołonek halki  
czerwona. Maż to pochwała

Wychodzimy! Powstaje zagad-  
nienie, gdzie mam podziąć  
kredkę, grzebyk i pudernicz-  
kę? Torebka na zabawie prze-  
szkadza. Modne jest nosić te  
rzeczy „w chłopcu”. Pakuję  
mu więc wszystkie swoje graty  
do kleszeni Zresztą będzie to  
dobry pretekst, by go zawsze  
potem na zabawie odszukać



# ŻYCIE I ŚMIERĆ CHARLIE PARKERA



Parker w roku 1945



Parker w roku 1955



Pogrzeb Charlie Parkera

Zmarł 12 marca 1955. Miał lat 34.

Gazeta nowojorska Daily Mirror data na pierwszej stronie wielki tytuł: „Król Bopu umarł w mieszkaniu baronowej Rotschild”. To że Parker zmarł u siostry Rotschilda, wydało się dziennikarzom amerykańskim niesłychanie ważne.

Okoliczności tej śmierci były jednak istotnie dziwne. Pani Rotschild to milionerka, snobka, matka pięciorga dzieci, przesiadująca stale w nocnych klubach jazzowych. Parker umarł 12 marca w sobotę wieczorem w jej domu. Sama baronowa w niedzielę spędziła cały wieczór w klubie jazzowym „Open Door” w licznych towarzysztwie najbliższych przyjaciół Parkera, i nawet jednym słowem nie odezwała się o tym co się wydarzyło u niej w domu poprzedniego wieczoru. Dlaczego? Dlaczego ciało artysty przewieziono do kostnicy, zostawiono, i tam przeleżało jako nierozpoznane przez dwa dni? Dlaczego pogrzeb odbył się dopiero w jedenaście dni po zgonie?

Miał przezwisko „Bird” — Ptaszek. Był najmłodszy z „wielkiej trójki” murzyńskich artystów jazzu: Armstrong—Ellington—Parker. Umarł pierwszy, ale przez swe krótkie życie potrafił jazzowi narzucić nowoczesny styl muzyczny be-bop. Sam był zresztą jednym z głównych jego twórców.

W tym roku w lecie, podczas pobytu w Paryżu, mieliśmy okazję słyszeć wiele płyt Parkera. Zrobiły na nas olbrzymie wrażenie. Jego muzyka była często dla nas zbyt trudna — jak to się mówi — do zrozumienia. Nagłe spadki, ostre niespodziewane skoki linii melodycznych, nierozwiązywanie akordów, ostre dysonansy i pozorna chaotyczność — nie są łatwe dla nieprawidłowego ucha. Jednak nie mieliśmy ani przez chwilę cienia wątpliwości, że słyszymy wielkiego, niezwykłego artystę.

Jeśli chodzi o muzyków jazzowych, to oni sami jednogłośnie uważają Parkera za największego spośród nich. Nie ma jednego nowoczesnego artysty jazzu, który by nie twierdził „najwięcej nauczyłem się i skorzystałem od Parkera”. Mówili to jeszcze za jego życia, wtedy, gdy sam Parker obdarty i wynędzniały, zebrał na ulicy w Nowym Jorku.

Parker opowiadał: „Miałem 12 lat, gdy rozpocząłem nocne życie. Miałem 15 lat, gdy nauczyłem mnie co to jest heroina. Przekleństwem narkotyków. Całe moje życie stało się tragedią”.

Od początku grał jakoś inaczej niż inni muzycy. Jednak dopiero w latach 1942—1944 następuje odkrycie. Odkrycie zupełnie nowego stylu jazzowego nazwanego „be-bop”.

Zrealizowało się to na tzw. jam-sessions, czyli „marmoladowych zebraniach”. Nazwa ta i zwyczaj pochodził jeszcze z czasów nowo-orleańskich. Mianowicie muzycy jazzowi z różnych orkiestr po zakończeniu pracy, schodzili się w jakiejś knajpie. Tam grali już nie dla publiczności lecz dla własnej satysfakcji. Ponieważ artyści ci to byli ludzie ubodzy, przynosili ze sobą na noc własną i to możliwie tanią walówkę: pół bochenka chleba i marmoladę (jam).

Otóż na takich zebraniach marmoladowych w latach 1940—42 czterech muzyków wypracowało be-bop. Byli to: Charlie Parker (sakso-

fonista-alt), Monk (pianista), Gillespie (trębacz) i Kenny Clarke (bęben, perkusja). Który z nich odegrał w tej pracy najdonioślejszą rolę, nie wiadomo, a oni nigdy nie chcieli tego wyjawiać. Wiele mówiło się o tym, że to właściwie Clarke był tym istotnym twórcą bopu. Inni przypisują główną zasługę Monkowi. Fakt jest, że oni sami zawsze uważali Parkera jakby za swego szefa, za najwybitniejszego artystę z ich czwórki, i że właśnie Parker potrafił swą sugestywną grą narzucić ten styl współczesnemu jazzowi. Pierwsze ich płyty be-bopowe ukazały się w roku 1945: została przewrócona kartka w historii jazzu.

Od 1945 roku muzycy jazzowi w Ameryce i w Europie mówią wyłącznie o be-bopie. Jedni są za, drudzy przeciw, wszyscy jednak stwierdzają, że jest to jazzowa rewolucja. Są rozgorączkowanie. Publiczność jednak nie rozumie z tej trudnej i pozornie chaotycznej muzyki.

Parker włóczył się w tym czasie po małych miasteczkach amerykańskich, w których jest po prostu wygwizdywany. Jest w skrajnej nędzy. Parker mówił: „Ludzie nie rozumieją tu mojej muzyki. Gorzej, oni jej nienawidzą. Jak można nienawidzić jakąkolwiek muzykę? Czy ona wyrządza komuś jakąś krzywdę?”

29 lipca 1946 udał się do studia, aby nagrać kilka płyt. Był w zupełnym rozstroju nerwowym, w trzęsących się rękach nie mógł utrzymać saksofonu. Nagrał tylko jedną, i uciekł ze studia. (Płyta ta została wydana mimo ostrego sprzeciwu Parkera. Jest ona uważana za jedno z jego arcydzieł. Parker przez lata ścigał sądowo producenta, zresztą bezskutecznie. Nigdy nie wolno było przy nim wspomnieć o tej płycie). Tej nocy podpalił swój pokój w hotelu, a gdy płomienie i dym zaczęły go dusić, wybiegł zupełnie nago na ulicę, gdzie zaczął wycierać przerażenie.

Ze szpitala dla umysłowo chorych wyszedł uspokojony i zrównoważony. Ożenił się z pięcioletnią dziewczyną imieniem Doris. Znał ją z czasów, gdy grał w klubie, w którym ona pracowała w szatni. Mimo nadludzkich wysiłków Doris, spokój nie trwał długo. Aby nie zażywać heroinowych narkotyków, Parker zaczyna okropnie pić. Po beznadziejnej walce Doris poddaje się. Rozwód. Parker żeni się po raz drugi, z niezbyt lubianą przez jego przyjaciół jazzowych, niezwykle przystojną brunetką, Chan Richardson.

W roku 1950 jest uznany, sławny, wielbiony. Zdobył publiczność, a przynajmniej jej awangardowy odłam. Płyty Parkera sprzedaje się masowo.

W tym to roku nagrywa dwie płyty (16 utworów) z orkiestrą... smyczkową. Uważa je za swoje ogromne osiągnięcie. Jednak krytyka i opinia melomanów jest miążdżąca. Pomysł grania na saksofonie z akompaniamentem „smyczkami” (5 skrzypiec, wiolonczela i... harfa) uważają za całkowicie poroniony, a grę samego Parkera za zupełnie słabą i nieinteresującą. Ponadto oskarżają Parkera, że nagrał te płyty z przyczyn... komercyjnych. On, najmniej komercyjny ze wszystkich artystów! Jest to

najcięższa zniewaga dla każdego prawdziwego muzyka jazzowego.

Dewne wyjaśnienie: muzycy jazzowi już od kilkunastu lat nie grywają na dancinгах i w ogóle nie grają do tańca. Głównym źródłem utrzymania są dla nich występy w tzw. „klubach jazzowych”. Są to małe lokale, w których publiczność siedzi przy stolikach, popijając piwo, sok owocowy, coca-cola, coctail, kawę, rzadko i w niewielkich ilościach napoje alkoholowe. W lokalach tych się nie tańczy. Inne źródła dochodu to radio i występy w dużych salach koncertowych, oraz płyty. Dochody z płyt zależą od ilości sprzedanych egzemplarzy, mają więc ogromną rozpiętość: czasem nie przynoszą prawie nic, czasem wielkie pieniądze. Ujemne recenzje i „położenie się” nowowydanej płyty ma więc dla muzyka jazzowego i w opinii, i finansowo, ogromne znaczenie.

Parker się zaczyna. Chce koniecznie występować z zespołem smyczkowym w klubach. Jednak kluby są zbyt małe, aby mogły wyżywić 13 osób smyczkowej orkiestry, towarzyszącej saksofoniście. Parker to niepowodzenie przeżywa bardzo ciężko.

Krytyka po ostrych atakach, zaczyna go w ogóle przemilczać. Albo nie pisze nic, albo drobne złośliwości... Dlaczego, trudno to zrozumieć. Płyty Parkera są z dnia na dzień coraz to mniej kupowane. Nagle umiera na zapalenie płuc ukończona córeczka artysty. Zalamuje on się ostatecznie.

Nazwisko Parkera jest wciąż wielką atrakcją dla grona melomanów, ale kluby nie żyją tylko ze znawców, lecz i ze zwykłej publiczności. Parker przychodzi pracować nieogolony, w podartych łachmanach, zupełnie zaniedbany. Czasem nie zjawia się wcale. Niekiedy przychodzi, lecz bez saksofonu, który zgubił lub zastawił.

Próba samobójstwa przez wypicie jodyny.

Udaje się go uratować. Ze szpitala dla nerwowo chorych wychodzi znowu uspokojony, pełen nowej chęci do życia. Przejście zupełnie. Codziennie udaje się do szpitala na zastrzyk. 30 sierpnia 1954 gra na wielkim koncercie w Nowym Jorku.

Bezapelacyjny, niebywały triumf. Jest jedynym muzykiem jazzowym, w określeniu którego wszyscy zgodnie używają słowa genialny.

Co się stało potem, nie bardzo wiadomo. Lekarz-psychiatra, który zaprzyjaźnił się z artystą w czasie jego pobytu w szpitalu (Parker zdrowy, był człowiekiem niezmiernie miłym i łagodnym, o wybitnie żywej inteligencji), skarżył się, że Parker przestał przychodzić do szpitala na zastrzyki. Ci, co go widywali, twierdzili, że zaczął nagle mocno tyć. I to tym niezdrowym obrastaniem w tłuszcz. Chodził znowu obdarty i zaniedbany. Widywano go, jak wieczorami zebrał na ulicach.

Wśród amatorów jazzu rozchodzi się wiadomość, że w sobotę 5 marca 1955, w „Birdlandzie” (jednym z najlepszych nowojorskich klubów jazzowych: tak nazwanym ku czci „Birda” — Parkera), — „zupełnie wyjątkowo, jako uzupełnienie programu, jeden jedyny raz, wystąpi Charlie Parker”.

Grał. Jakoś dziwnie, ale grał.

8 marca był u pani Rotschild. Skarżył się na trudności w oddychaniu. Nagle zrobiło mu się słabo. Wezwany lekarz zarządził bezwarunkowe przewiezienie do szpitala. Parker odmówił. Ułożono go w łóżku. Lekarz przychodził dwa razy dziennie. 11 marca nastąpiła znaczna poprawa. W sobotę 12 marca po południu, leżąc w łóżku oglądał wesoły program telewizyjny. Śmiał się serdecznie. Śmiejąc się, zaczął się dusić i zemdał. W kilka minut później nie żył.

Tak przedstawiła dziennikarzom później baronowa przebieg zdarzeń.

Wszystko co się stało po śmierci Parkera było dziwne. Kilkunastu artystów zażądało w prasie urzędowego śledztwa i zbadania całej tej sprawy. Żądanie to po dziś dzień pozostało bez odpowiedzi. Kolejdy natychmiast urządzili najwspanialszy i największy koncert w dziejach jazzu na rzecz matki i dzieci zmarłego. Kilka tysięcy osób odeszło od kasy, nie mogąc dostać biletów. Na cmentarzu było tylko kilkanaście osób, gdyż nie można było się dowiedzieć daty pogrzebu. Przez cały czas lał ulewny deszcz. Ptak odleciał.



1



**LOUIS ARMSTRONG**

(trębacz, śpiewak) ur. 1900 w N. Orleanie. Najwybitniejsza postać jazzu. Gra jego trąbki pełna napięcia, dynamiczna, często tragiczna, robi wstrząsające wrażenie. Obok tradycyjnej improwizacji zbiorowej, wprowadził on improwizację indywidualną. Zrozumiał znaczenie dla jazzu swingu i pierwszy zaczął świadomie swingować. Zdobył jazzowi miliony zwolenników. Także śpiewa. Niskim, zachrypłym głosem, a jednak jest największym śpiewakiem jazzowym

**STYL NOWO-ORLEAŃSKI** (zwany także DIXIELAND) najdawniejszy, całkowicie improwizowany. Typowe są zespoły 5-7 osobowe. Sekcja rytmiczna (fortepian, bęben, kontrabas, gitara) utrzymują rytm  $\frac{4}{4}$ , akcentując wyraźnie każdą drugą i czwartą (tzw. słabą) ćwiartkę taktu. W sekcji

melodyjnej, muzycy na temat jakiejś znanej melodii improwizują łącznie w trójtęgie (trąbka, klarnet, puzon). Jest to improwizacja zbiorowa. Jest ona polifoniczna (tzn. każdy instrument prowadzi we wspólnym trójtęgu się samodzielną linią melodyjną opartą na tych samych akordach tematu)



**SIDNEY BECHET**

(saksofonista sopran) ur. 1897 w N. Orleanie. Nikt nie gra tak pięknie i lirycznie jak on. Nawet ci, którzy nie gustują w jazzie, przepadają za Bechetem. Mieszka w Paryżu. Gra jego jest wciąż mistrzowska a równocześnie młodzieńcza. Ogromnie popularny



**KID ORY**

(puzonista, także kompozytor i śpiewak) ur. 1887 w N. Orleanie. Zasłużony weteran jazzu, mimo swych lat grający z niesłychaną werwą. Prowadził najlepszy z istniejących obecnie zespołów w czystym nowo-orleańskim stylu i wciąż odnosi sukcesy



**MILTON MEZZROW**

(klarnecista) przezwisko „Mezz”. Biały, przyjaciel Murzynów i ich muzyki. Jego płyty i działalność w latach 38/40 przyczyniły się do Reival'u, czyli powrotu do łask stylu orleańskiego, wypartego poprzednio przez zespoły swingowe

**ZE SPOTKANIA** muzyki murzyńskiej z europejską na przełomie XIX i XX wieku, powstał JAZZ. Twórcami jego byli artyści murzyńscy z Nowego Orleanu (USA, Louisiana). Istotą jazzu jest precyzyjna rytmiczność, improwizacja i specyficzny sposób grania tej muzyki. Wykonawca wysuwa się przed kompozytora. Toteż w jazzie ważniejsze od tego CO się gra, jest KTO gra. Dlatego zapisem muzyki jazzowej nie są nuty, lecz poszczególne wykonania nagrane na płytach. Najstarsze płyty jazzowe pochodzą z ok. 1918 r. W swoim rozwoju jazz wytworzył 3 style: 1. **STYL NOWO-ORLEAŃSKI**, początkowy, najdawniejszy, panował samowładnie od ok. 1930 r., 2. **STYL „SWING”**, który wypiera w latach 30/40 całkowicie styl poprzedni, a następnie łącznie z nim panuje do 1945 r., i wreszcie 3. **STYL NOWOCZESNY** (Be-bop — czytaj: Bi-bop), który obejmuje przewodnictwo od roku 1945.

Style te powstały historycznie, jednakże nie wyparty się nawzajem, lecz współistnieją. Każdy z nich ma swoich zwolenników, jest grywany, jeszcze rozwija się i wzbogaca. Jednak muzycy nowo-orleańscy to ludzie po pięćdziesiątce, muzycy typu „swing” są po czterdziestce. Wśród młodych muzyków i amatorów jazzu największym zainteresowaniem cieszy się obecnie styl NOWOCZESNY. On też jest najbardziej aktywny.

**ISTOTA** jazzu jest we wszystkich trzech stylach jednakowa. To co różni jazz od muzyki poważnej, rozrywkowej i tanecznej, można ująć w „SZEŚĆ PUNKTÓW JAZZU”:

1. Jazz jest muzyką SYNONOWANĄ, graną precyzyjnie w takcie  $\frac{4}{4}$ .
2. Esencję jego stanowią IMPROWIZACJE indywidualne lub zbiorowe.
3. Partie „pisane” każda orkiestra (jej kierownik) „aranżuje”, czyli opracowuje i przerabia tak, aby mieściły się one całkowicie w manierze grania danego zespołu.
4. Specyficzny sposób gry na instrumentach daje im oraz całości, swoiste brzmienie i barwę.

Te cztery punkty są KONIECZNE, aby w ogóle dany zespół można nazwać jazzowym. Jednakże aby wykonanie jazzowe utworu było DOBRE, powinno ono ponadto być wykonane:

5. HOT — oraz 6. SWING
- Są to pojęcia specyficzne dla jazzu, trudne do wytlumaczenia słowami, choć łatwe do odczucia podczas słuchania.

Grać HOT nie znaczy grać głośno i szybko, jak to niektórzy naiwnie twierdzą. Grać hot (gorąco, z uczuciem) znaczy grając, mieć coś ważnego do przekazania słuchaczom, mieć w ogóle coś do powiedzenia. Można grać wolno i cicho lecz hot. O ile wiemy, to Paganini improwizował i grał hot. Tak samo grają niektóre zespoły cygańskie. Nie jest to jednak jazzem, gdyż ani cyganie ani Paganini nie grają „swing”.

SWING jest to zjawisko rytmiczne, polegające na wytworzeniu się wśród grających

2



**DUKE ELLINGTON**

(pianista, dyrygent, kompozytor, aranżer) ur. 1899. Stworzył typ nowoczesnej wielkiej (12-16 osób) orkiestry jazzowej. Przez 30 lat zmieniali się w niej muzycy, jednak zawsze można ją z miejsca rozpoznać, taka jest indywidualność kierownika. Żadna wielka orkiestra nie jest tak interesująca aranżowana i równocześnie nie daje takich możliwości solistom do improwizacji. Żadna orkiestra jazzowa nie brzmi pełniej. E. jest też świetnym pianistą

**STYL „SWING”** (słuszniejsza byłaby nazwa: styl PEŁNY lub ZASADNICZY). Muzyka w dużej mierze pisana, jednakże aranżowana (tzn. że każda orkiestra dany utwór rozkłada na instrumenty i opracowuje zupełnie inaczej). Improwizowane są tylko partie solowe (improwizacja indywidual-

alna). Cała sekcja rytmiczna utrzymuje absolutnie równy jednostajnie akcentowany rytm na  $\frac{4}{4}$ . Podkreślają go także często inne sekcje orkiestry powtarzającymi się akcentami (riffami). Charakterystyczne duże orkiestry kilkunastuosobowe, lecz bywały i małe zespoły z 4-6 wykonawców



**LIONEL HAMPTON**

(wibrafonista, a także pianista, perkusista i śpiewak). Duży temperament, oszalałający poczucie swingu. Potrafił wibrafon podnieść do godności muzycznego instrumentu. Improwizuje na nim, narzucając równocześnie swój precyzyjny rytm orkiestrze



**BENNY GOODMAN**

(klarnecista) ur. 1905 w Warszawie (takt). Zastąpił jako „król swingu”, kierownik wielkiej orkiestry swingowej. Ciekawskie są jego kameralne „trio” i „kwartety”. Pierwszy w Stanach Zjednoczonych odważył się wystąpić z mieszaną orkiestrą czarno-białą



**STAN KENTON**

(pianista, dyrygent). Pragnie ostro zmodernizować styl wielkich swingowych białych orkiestr, jednakże nie w stylu bop i inaczej niż to robi Duke Ellington. Często odchodził od jazzu w kierunku nowoczesnej muzyki niejazzowej

3



**CHARLIE PARKER**

(saksofonista alt) 1920-1955. Najmłodszy z „wielkiej trójki” jazzu. Rewelacyjny improwizator. Współtwórca i najwybitniejszy wykonawca be-bopu, ultra-nowoczesnej muzyki jazzowej. Jego gra jest niezmiernie sugestywna lecz skomplikowana i trudna. Czujemy wielkość i siłę tego artysty, choć nie zawsze możemy za nim nadążyć. Jego dzwina a tak urzekająca muzyka jakby przekroczyła proste pojęcia piękna i brzydoty

**STYL NOWOCZESNY** (zwany BE-BOP, w pewnej odmianie: COOL). Zespoły 4-6 osobowe, wyjątkowo i większe. Rytm na  $\frac{4}{4}$  utrzymuje tylko kontrabas, zaś bęben (perkusja) porusza się w tym rytmie swobodnie i samodzielnie (polirytmia). Partie aranżowane, a obok nich improwizacje: i indywidualne, i zbiorowe. Sma-

le wykorzystanie zdobyczy najnowocześniejszej muzyki. Stosowanie harmonii chromatycznej (gamy 12 tonowej), ostrego dysonansu, anodonalności, a w niektórych wypadkach nawet atonalności. Powrót do polifonii, lecz całkiem innej niż w stylu orleańskim



**DIZZY GILLESPIE**

(trębacz, a także pianista i śpiewak) jest wraz z Parkerem, Monkem i perkusistą Kenny Clarkiem współtwórcą be-bopu. Oszalałający wirtuoz na trąbce, niezmiernie inwencyjny i śmiały improwizator. Człowiek spokojny, wesoły i zrównoważony



**THELONIOUS MONK**

(pianista). Jego dzwina skupiona gra nie ma w sobie nic z wirtuozem. Czasem nawet wydaje się nieudolna. Jednak niezmiernie bogata w idee, nowatorska i fascynująca robi na dziwnym słuchaczem bardzo duże wrażenie. Jeden z twórców be-bopu



**GERRY MULLIGAN**

(saksofonista baryton, kompozytor i pianista). Zastąpił kwartetem: saksofon, trąbka, kontrabas i perkusja (bez fortepianu), z którym współpracował oryginalny ścisłe kameralny styl (polifoniczny) o niezwykle pięknym brzmieniu, pochodnym od bopu (cool)



# „JAZZ“ (dokończenie)

charakterystycznej ATMOSFERY RYTMICZNEJ. Zjawisko to zostaje wywołane, zdaje się, przez absolutną trafność akcentów i specjalne wyczerpienie rytmiczne grających muzyków. Swingu-rytmu, nie należy mieszać z nazwą jednego stylu „stylu swingu”. Rytm swingowy jest niezbędny w każdym stylu.

Ważne: te 6 PUNKTÓW jazz-

zowych odnosi się do każdego jazzu, DO WSZYSTKICH TRZECH STYLÓW!

Spośród bardzo wielu znakomych artystów jazzowych twórców i wirtuozów, wybraliśmy tu tylko 12-tu. Tych, którzy — jak sądzimy — w największym mierze przyczynili się do rozwoju tej muzyki. Obejrzyjcie teraz (na poprzedniej stronie) ich fotografie.

my, że Geishwin jest także autorem słynnej opery „Porgy and Bess” opartej na muzycznym folklorze amerykańskim).

● Nie mów „Niech będzie jazz, ale po co nam melodie amerykańskie, grajcie polskich kompozytorów”. To jest tak samo jak byś żądał, aby nie grano walców Straussa, bo to austriackie. Jak byś domagał się, aby nasze orkiestry filharmoniczne wykreśliły z repertuaru „Bolero” Ravela, bo to hiszpańskie, a ZAMIAST (a nie obok) tego wstawili do repertuaru tańce góralskie. Co byś powiedział o Amerykaninie, Włochu lub Angliku, którzy by sprzeciwiali się granu w ich kraju Chopina, bo to polskie?

● Nie mów „Jazz to dobre dla Murzynów, ale nie dla Europejczyków”. Jazz jest wkładem wybitnych artystów amerykańskich w OGÓLNOSWIATOWY dorobek kulturalny. Z wysiłków i osiągnięć wszystkich artystów na świecie składa się nasza kultura i sztuka.

● Nie nazywaj jazzem samby, rumbę, mambo itp., gdyż są one odległe od jazzu rytmem (3/4, co już uniemożliwia swingowanie), pochodzeniem (są to tańce ludowe Ameryki Łacińskiej lub Kuby), oraz charakterem.

● Nie mieszaj pojęcia „swingu” jako specyficznego rytmu, z „muzyką swingową” czyli określeniem pewnego stylu jazzowego.

● Nie mów, w formie argumentu przeciw jazzowi, że „Jazz nigdy nie zastąpi muzyki poważnej” — chociaż to praw-

da. Jazz nie ma ani takich zamiarów, ani takich możliwości. Jest to muzyka, która ze swojej istoty posiada ograniczony krąg odbiorców: może ona zdobyć głównie tych, których w muzyce interesują zagadnienia rytmiczne i na nie są wychuleni.

B-CIA ROJEK

## KILKA DOBRZYCH RAD (jazzowych):

NIC w tym złego, że w różnorodnych i skomplikowanych problemach jazzu orientujesz się tylko powierzchownie. Zie jest, jeśli mając powierzchowne wiadomości i dorywcze oświadczenia, mówisz o jazzie złośliwie i niesłusznie.

W szczególności radzimy Ci:

● Nie mów „Jazz jest muzyką taneczną”. Wprawdzie wywodzi on się z muzyki tanecznej, ale dawno już nią być przestał (ostatecznie teatr też wywodzi się z tańca). Jazzowi pozostała ostra rytmiczność, jednakże jest to obecnie muzyka wyłącznie do słuchania. Tak samo wiele utworów muzyki po-

ważnej pochodzi z muzyki tanecznej, a jednak nikt ich nie tańczy; choćby mazurki Chopina.

● Nie mieszaj więc muzyki „tanecznej” i „rozrywkowej” z jazzem, choć one używają także saksofonu, perkusji i zapożyczyły od jazzu niektóre jego chwytły. Jazz to przede wszystkim improwizacja.

● Pamiętaj, że podobnie nie jest jazzem „Błękitna rapsodia”, chociaż wybitny kompozytor amerykański Gershwin do swego utworu symfonicznego włączył pewne, zresztą powierzchowne, elementy jazzowe. (Nawiasem przypomnia-

A przecież kosztem kilkunastu złotych można wyposażyć każdy przedział wagonu sy-

pialnego w najprostsze wieszaki z poprzeczką, na zawieszenie złożonych na kant spodni.

Wieszadła takie w Warszawie kosztują w detalu ok. 2 zł, a w hurtle — przekonany jestem że

odpowiednio taniej. „Elegant” (z 3 klasy, bo w 2-giej są wieszaki) Ryszard M., W-wa



Oto okładka słynnej i nieudanej (?) płyty, którą nagrał PTAKE-BIRD-Parker z orkiestrą smyczkową. Okładkę projektował młody wybitny amerykański grafik Dawid Stone Martin



## »TATRĄ« DOKOŁA ŚWIATA

Do Redakcji „Przekroju”!

Notatka o filmach czechosłowackich w zestawieniu „Co zobaczymy na ekranie w 1956 r.” („Przekrój” 556) zawierała pewną nieścisłość. Mianowicie dwaj czeszy inżynierowie Jirzi Hanzelka i Miroslav Zikmund nie odbyli swej podróży po świecie „Skodą”, lecz innym samochodem marki czechosłowackiej „Tatrą”.

Dla ciekawych dodam, że Hanzelka i Zikmund

rozpoczęli swą podróż w kwietniu 1947 r. w Pradze. Podróż ta miała trwać trzy lata. Pierwszą jej część prowadziła z Pragi poprzez Niemcy, Szwajcarię i Francję do Marsylii, stąd statkiem do Casablanki.

Druga część odbywała się samochodem wzdłuż brzoźdźcem morskich brzegów Afryki do Kalru, dalej w górę Nilu, przez pustynię Nubijską, Abisynię, Somali, Kenię do źródeł Nilu. Stąd na południe przez Kongo, Rodezję, Unię Południowo-Afrykańską do Kapstatu.

Interesujących się bliżej losami tych dwóch inżynierów odsyłam do wydanej w 1954 roku 3-tomowej książki Hanzelki i Zikmunda „Afryka marzeń i rzeczywistości”, sprowadzonej przez „Dom Książki” z NRD. Warto też dodać, że zapowiadany jest przekład tego dzieła na język polski.

Alfred Chwistek, Wrocław

**CHCEMY!**  
**wieszać!**

Obywatelu Redaktorze!

Orblsowe wagony sypialne 3 klasy zaopatrzone są w haczyki umocowane do półek, na których to haczykach podroźni z trudem wieszają swoje odzienie. W lecie jeszcze pół biedy, ale za to w zimie gnienie się wszystko, od ciepłego palta aż do koszuli. Łatwo się domyśleć jak wyglądają te ubrania rano!



Co by się stało, gdyby na brzeg nieznanej wyspy laskawa fala wyrzuciła 3 rozbitków: kobietę i dwóch mężczyzn? Jeśli są to Hiszpanie, to jeden mężczyzna zabije drugiego; jeśli Włosi, to kobieta zabije któregoś z mężczyzn; jeśli Anglitcy nie stanie się nic, ponieważ nie zostali sobie przedstawieni; jeśli Francuzi to w ogóle nie ma żadnego problemu... Takie przynajmniej rozwiązania podaje amerykański miesięcznik.



Angielski aktor Sir Cedric Hardwicke miał następnego dnia o wczesnej godzinie rannej udzielić wywiadu w radio. Już poprzedniego dnia przygotowywał go do tego dziennikarz,

który miał z nim przeprowadzić wywiad:

— Zapytam też pana o definicję dobrego aktora. Czy ma pan już coś przygotowanego?

— Dobry aktor — odpowiadał z miejsca Hardwicke — to człowiek, który mimo iż wstaje nieprzyzwyczajenie i odpowiada na idiotyczne pytania, wygląda jak gdyby był niezmiernie zadowolony z tego wszystkiego.

## SPRZEDANA NARZECZONA

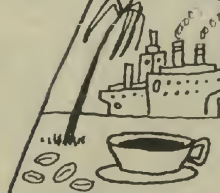
ZW. wysokie sfery londyńskie przeżywały ostatnio niemałą atrakcję. Otóż na uroczystej premierze opery „Sprzedana narzeczona” Smetany w Covent Garden, pojawiła się cała rodzina królewska i wszystkie najwyżej postawione osobistości. I oto — cała publiczność Covent Garden łączyła sobie niedwuznacznie treść libretta ze znaną historią księżniczki Małgorzaty. Na scenie: piękna i bogata Marysia kochała się w biednym Janku, oczywiście niechętnie widzianym przez rodzinę posażnej panny, w



zyciu, wiadomo: Małgorzata, pułkownik Townsend itd... Na scenie: młodzi zwyciężają, w zyciu: o nie, tutaj sprawa potoczyła się inaczej. Małgorzata przyszła do opery już po oficjalnym zerwaniu z pułkownikiem Townsensem. Siedziała w łozie tuż obok największego przeciwnika jej małżeństwa, swego szwagra księcia Filipa. W ogóle

na widowni znaleźli się — prócz Townsenda — wszyscy zamieszani w jakikolwiek sposób w sprawę ewentualnego megalansu księżniczki. Oto na zdjęciu widzimy arcybiskupa Canterbury, gdy wraz z małżonką wchodzi do Covent Garden. Wpływ i perswazje arcybiskupa również odegrały niemałą rolę w smutnej historii miłości księżniczki Małgorzaty

## CZY WIECIE ŻE:

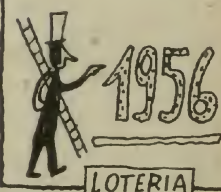


Kawa „mocca” nazywa się tak od nazwy arabskiego portu Mocca, który słynął z doskonałych kawiarń.

Starożytni Rzymianie lubili święta. Za czasów Klaudiusza (pol. I wieku) ilość dni świątecznych w roku doszła do absurdalnej liczby 159.

Zbieranie gniazd jaskółczych na słynną zupę było ongiś przywilejem chińskich cesarzy. Gniazda te, budowane z porostów zlepianych śliną, mieszczą się na trudno dostępnych skałach i dlatego są bardzo kosztowne.

Przyjemnie jest rozpocząć nowy rok, wygrywając na loterii. Dlatego najlepszym i najprzyjemniejszym podarunkiem noworocznym jest los na loterię. Witamy więc Nowy Rok z losiem loterii w ręce.



KIEDY dojrzejawia chiłocy? — to temat dyskusji, jaką urządziła amerykańska stacja telewizyjna. Oto co powiedział jeden z dyskutantów na ten temat: „Chłopiec staje się dorosłym na 3 lata przedtem nim rodzice tego się domyślają, a w dwa lata potem, gdy on sam tak uzna”.

## FILATELISTYKA

W styczniu 1956 r. ukazała się stalowyta seria „X-lecie Polski Ludowej na inorzu” obejmująca 5 znaczków o wartościach 5, 10, 20, 45 oraz 60 gr. Znaczkę powyższą wg projektu Stef. Łukaszeńskiego będą szyćchowali: J. Miller — 10 gr. Bog. Brant — 20 gr. M. R. Polak — 45 gr. oraz St. Łukaszeński — 60 gr. Barwy jeszcze nie ustalone.

St. Miksztein



— U nas proszę pani, do wycierania pióra używa się bibuły...





Galczyński



(o) W drugą rocznicę śmierci K. I. Galczyńskiego, w całym kraju odbyły się wieczory poświęcone jego twórczości. Na wieczór zorganizowany w Stowarzyszeniu Dziennikarzy w Warszawie, przybyła Natalia Galczyńska z córką, a sala wypełniona była do ostatniego miejsca. Utwory poety czytano trzech artystów, jeden zaś śpiewał je przy akompaniowaniu gitary. Nową, ciekawą interpretację wierszy dał Tadeusz Łomnicki.

### Już nas jest?

(y) Według najnowszych statystyk zaludnienie na kuli ziemskiej w roku 1955 przedstawiało się następująco: Azja — 1,6 miliarda, Europa — (wraz ze Związkiem Radzieckim) — 648 milionów, Ameryka Północna i Południowa — 380 milionów, Afryka — 198 milionów, Australia i Nowa Zelandia — 11 milionów mieszkańców. Jest nas już widać nie mało.

### Dziękujemy!

(l) Nowy film polski, zbyt ostro krytykowany przez prasę „Irena do domu” (patrz recenzja małżeństwa Kernów o bok) reklamuje bardzo ładnie tygodnik „Przekrój”. Bo bohaterka filmu właśnie z naszego pisma uczy się jazdy samochodem (kiedyś drukowaliśmy krótki kurs dla kierowców-samouków). Dziękujemy i prosimy o więcej (niekoniecznie tylko reklamy, ale przede wszystkim dobre, lekkie komedie).

### Gdzie jelenie?

(o) Związek Plastyków przystąpił do kolejnej ofensywy i rozpiął następną subskrypcję grafiki. Na warszawskiej wystawie znajduje się 60 pięknych litograf, miedziorytów i innych dzieł, które każdy może zakupić za 40-70 złotych. Subskrypcja cieszy się dużym powodze-



— O tym decydują rodzice, Alfredzie. Gdyby to ode mnie zależało, bez wahania odpowiedziałabym ci NIE...

niem (w zeszłym roku sprzedano 10,000 egzemplarzy). Podobno tylko niektórzy klienci mają jednak zał do artystów, że tak mało przedstawili zgrabnych jeleni, złośliwo słucha z promieniami i rozpedzonych rumaków... My nie.

## TO i OWO

Oryginalnie „reguluje się” przyrost ludności w miasteczku Reichenberg (Dania). Nad miejscowym Urzędem Stanu Cywilnego widnieje szyld: „Na urodziny przeznaczona się czwartek i piątek, godziny 9-12”.

Polici francuskiej udało się złapać od dawna poszukiwanego kassajera Peretti, „autora” kilku „napadów na rozmaite banki”. Peretti przyznał się do winy, gdy jednak podczas procesu zarzucono mu napad na Bank Regionalny, gorąco zaprzestował: — Jak mogłem włamać się do tego banku? Przecież tam właśnie mam swoje konto.

## DEMOKRATYCZNY SAVOIR VIVRE W ODCINKACH

opracował: Jan Kamiński

**CZYTELNICZKA w Brwinowie.** „Czy na wesela należy się ubrać w czarną sukienkę? Ja ubrałam się w popielatą, natomiast moje sąsiadki przy weselnym stole były na czarno i jedna z nich zwróciła mi uwagę, że ubrałam się nieostojownie.” — Nie miała racji. Właśnie należy unikać czarnych sukien na weselu. Ubrała się pani bez pudła.

**ZAKATARZONY w Legnicy.** „Gdzie zdaniem DSV trzeba nosić chustkę do nosa: w kieszeni od spodni, czy też w wewnętrznej kieszeni marynarki?” — Można tak i tak. Eleganckie (Jerzy Skarżyński) noszą w marynarcie.

**ANNA K.** „Dowiedziałam się, iż nasza sąsiadka jest kleptomanka. Korzysta ona czasem z naszego telefonu. Co robić? Czy ją wypuścić?” — Tak. I dyskretnie pilnować.

**KAZIK w Krakowie.** „Natura okazała się dla mnie niezbyt szczerą. A raczej zbyt. Mam potwornie długie nos. Sympatia twierdzi, że za mnie nie wyjdzie, gdyż stanowilibymy śmieszny kontrast.” — Długim nosem odznaczało się wielu słynnych w historii amatorów. Nie mówiąc już o Dantem i o Casanovie, taki na przykład Franciszek I miał nos długości legendarnej, a podobnego właściciela u kobiet każdemu zżyliśmyśmy. Tak więc nos mężczyzny nie hańbi. Sympati! zaś należy wytrzymałość, że nie nos trzeba mierz, tylko serce.

**MARIOLA w Łodzi.** „Moje współlokatorki czasowo przy każdym wyjściu z pokoju mówiły „przepraszam” a przy każdym wejściu pukaly. Ponieważ tego nie robiłam, uznały mnie za nieinteligentną.” — Miała pani rację, nie przepraszaj i nie pukając, bo nie puka się do pokoju, w którym się mieszka. Co do inteligencji, to z pewnością nie wykazały jej współlokatorki, robiąc taką uwagę.

**GDANSZCZANIN.** „Co zrobić z krąkiem cytryny, leżącym na kotlecie?” — Przydusić widelcem, by sok wyciekł do kotleta, a potem odłożyć na bok talerza.

**DANUTA w Poznaniu.** „Mam powiększoną tarczycę, jak wybrnąć z dekoltem?” — Dekolt wyciąć, bo na wieczór jest modny, a na szyję włożyć kilka sznurków pererek ciasno obejmujących i zachodzących na szyję (naszyjnik typu „obrózka”), bo to jest bardzo noszone a jednocześnie maskujące.

**M. B. w Gdańsku.** „Półtora roku temu pozyczyłem koleżance 200 złotych. Po miesiącu oddała 50, o reszcie ani słychu, mimo że upominałem się listownie. Może wzmianka o tym w DSV wpłynie na koleżankę, bo wiem że tę rubrykę czytuje.” — Ha, może. W tej nadziei drukujemy.

**S. W. w Szczecinie.** „Czy można iść na zabawę wyłącznie w towarzystwie koleżanek (nie mam chłopca)?” — Można. Chłopcy nie spadają z nieba, tylko właśnie z sufitu tanecznej sali.

**STUDENTKA w W-wle.** „Przyjechała do mnie koleżanka i postanowiła pójść ze swą sympatią na bal inauguracyjny naszej uczelni. Wiedziała, że ja pójść nie mogę, bo zerwałam z chłopcem i przeżywałam. Wcale się tym nie kłębując, na moich oczach wystąpiła się i poszła. Czy to ładnie?” — To „prawda”, że mogła okazać subtelne skrupuły. Ale też prawda, że powinna była pani te skrupuły energicznie już wyperswadować i już bez dalszych ceremonii z jej strony wysłać ją na bal, pożyczając nawet własnych pererek. Wielkoduszność daje dużo satysfakcji.

### Dali w Meksyku

(l) Głośny — dzięki swym słynnym ekstrawagancom — malarz surrealistyczny Salvador Dali, przybył niedawno do Meksyku wioząc ze sobą 30 sztuk bagażu i małego kiokodyla. U-

działając wywiad przedstawicielowi tygodnika „Manana”, Dali raz jeszcze podkreślił swą samowolność. „Do tego by być geniuszem, potrzeba dwóch rzeczy — oświadczył — być Hiszpanem i nosić nazwisko Salvador Dali”.

Pewien jubiler nowojorski wymyślił pierścionek „rozrzedowy” był rozrzedkę można było

od razu rozpoznać. Jest on zrobiony z czarnego metalu i ozdobiony siedmioma kamieniami.

## WSZYSCY KRÓLOWIE SĄ ANGLIKAMI?

**ŻYJE SOBIE w Niemczech pewien książę, którego znaczna część majątku znajduje się w Austrii. Majątek ten uznany został po wojnie za mienie ponemieckie i miał przepaść na rzecz skarbu austriackiego, ponieważ książę Ernest August (z rodziny książąt hanowerskich) był obywatel III Rzeszy. Ale sprytny książę — a raczej jego adwokaci — wpadli na genialny pomysł. Wygrzebali angielskie prawo z 1705, które nadawało brytyjskie obywatelstwo wszystkim bez wyjątku potomkom Zofii Hanowerskiej, matki króla Jerzego I.**

Angilej znani są ze swego kultu dla tradycji i niechęci do zmian prawnych i obyczajowych. Sad brytyjski zgodził się więc na zastosowanie prawa z 1705 r. i uznanie, że książę Ernest-August może być obywatel brytyjskim.

Gdyby uznać to za precedens i zastosować prawo z 1705 r. do wszystkich żyjących potomków książęcej Zofii to mielibyśmy to nieoczekiwane konsekwencje. Ich pełna lista obejmuje bowiem ni mniej ni więcej tylko 24 strony almanachu „Debreit”, który w Anglii spełnia rolę almanachu gotajskiego i obejmuje wszystkich „dobrze urodzonych” tego świata! Obywatelami brytyjskimi byłby m. in. królowie Gustaw szwedzi, Haakon norwesk, Fryderyk duński, Boduen belgijski, byli królowie Michał rumuński, Piotr jugosłowiański itp. Nie licząc dziesiątków książąt (także rosyjskich), setek hrabiów i zwykłych śmiertelników, a „nawet”, jak stwierdzają ze zgrozą Anglii — Amerykanów!

Tymczasem książę Ernest-August zaciera ręce: nie tylko, że jako obywatel angielski uniknie konfiskaty swych dóbr w Austrii, ale co więcej, jako nowoupięcony Anglik ma zamiar zająć tytułu księcia Cumberlandu w Izbie Lordów, które mu się właśnie należy! Najzabawniejsze zaś jest to, że skoro Ernest August jest Anglikiem, to był nim także jego dziadek, cesarz niemiecki Wilhelm II. Powstaje więc problem, czy po zakonoczeniu I wojny światowej nie należało sadem o zdradę stanu i bunt przeciw prawowitemu władcy, którym był przecież król angielski? KW.

## Film IRENA DO DOMU



IRENA DO DOMU: Scenariusz: Willńska i Potemkowski. Reżyseria: Jan Fethke. Role główne: Adolf Dymśa, Lidia Wysocka, Hanna Bielicka, Maria Kotowska, Ludwik Sempolński. Na zdjęciu: Kotowska, Dymśa, Wysocka w jednej ze scen filmu

„Irena do domu” — to film, proszę pana. Ten film grają teraz na naszych ekranach.

Nim film ten w atelier nakręcać zaczęto, niedługo mi o nim cichutko szepnięto.

Ze klepski scenariusz, że straszny ma tytuł, że już jest do bani, a będzie do kitu.

Kręceno go jednak. Po pewnym zaś czasie zaczęły recenzje pojawiać się w prasie.

A pierwsze mniej więcej przed jakimś pół rokiem, a wszystkie pisane przez duchy głębokie.

Przeważnie ganiono, niekiedy krzyżowano, a często po prostu ramieniem wzruszano.

Gdym znał już na pamięć, co piszą duchowie, zaczęto wyświetlać film w moim Krakowie.

Udało się jakoś wytrzymać przez tydzień, lecz potem się człowiek załamał, o wstydzie!

I z żoną, nie o tym nie mówiąc nikomu, pospiliśmy na ową „Irenę do domu!”

I ciemno się w końcu zrobiło na sali i wszyscy w ciemnościach bez przerwy się śmiali.

My z żoną z początku się jakoś trzymamy, my wiemy, co myśleć, recenzje czytamy.

Lecz wreszcie nas wzięła chęć śmiechu przemożna, choć wiem, że to straszne, choć wiem, że nie można.

Śmialiśmy się bardzo, że skrucą wyznają, i jeszcze w dodatku szturchali nawzajem.

O, wielcy duchowie, wyznają to wam, że film ten obojętne podobal się nam.

L. J. i M. Kernowle



### Continente Perduto

czyli Zaginiony Kontynent, to pełnometrażowy, szeroko ekranowy film dokumentarny, nakręcony przez włoską ekspedycję filmową na pięknych i tajemniczych terenach wysp Jawa, Borneo, Bali i in. Krytyka zachodnio-europejska stwierdza, że film ten jest wielkim osiągnięciem i stanąć może na równi ze wspaniałymi realistycznymi filmami włoskimi pierwszych lat powojennych. Na zdjęciu pochodzącym z „Zaginionego kontynentu” — jedna z pięknych dziewcząt jakie — według zapewnień włoskich realizatorów — spotkać można na każdej z „Tysiąca szczęśliwych wysp” Sunda.



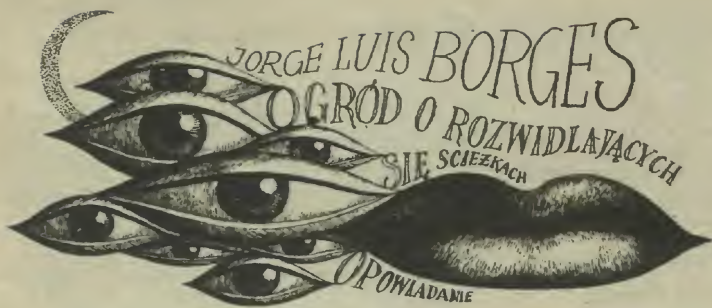
Nasza wciąż jeszcze zbyt uboga literatura teatroligistyczna wzbogaciła się ostatnio o dwie cenne pozycje: „Śzilkie teatralne” Wojciecha Natanson (Wydawnictwo Literackie, str. 214), oraz „Listy ze sceny” Erwina Axera („Czytelnik”, str. 258). Natanson w dwudziestu trzech esejach przedstawia wiele oryginalnych poglądów na twórczość Mickiewicza, Słowackiego, Fredry, Moliere i innych wielkich klasyków dramatu i komedii. Ich wybrane utwory omawia w związku z ich realizacją scenicznymi teatrów polskich i zagranicznych (Jouvet, Vilar). Autorem „Listów ze sceny” nie jest literat, lecz reżyser i dyrektor teatru. Tym ciekawsze są dla „zwykłego” czytelnika jego uwagi o repertuarze, aktorach, szkolnictwie artystycznym. Erwin Axer, kierownik jednej z najciekawszych scen w Polsce (ostatnio nawet dwóch), okazał się interesującym publicystą. Książka aktualna i potrzebna. Wszystkim, interesującym się sprawami teatru radzi my przeczytać obydwa omawiane książki. (K.)

### ISTOTNIE



— To jest mój nowy garnitur, uszyty z 55 centymetrów...





**N**A STRONIE 252 „Historii wojny europejskiej” Liddella Harta czytamy, iż ofensywa trzynastu brytyjskich dywizji (wspartych ogniem tysiąca czterystu dział) na linię Serre-Montauban, która miała się rozpocząć 24 lipca 1916, została przesunięta na rano 29. Opóźnienie to — niewiele, oczywiście, znaczące — zostało spowodowane, notuje kapitan Liddell Hart, przez ulewne deszcze. Deklaracja poniższa, podyktowana, sprawdzona i podpisana przez doktora Ju Tsun, dawnego profesora języka angielskiego w „Hochschule” w niemieckiej kolonii Tsingtao, rzuca na tę sprawę niespodziewane światło. Początkowych kartek brak:

„...zawiesiłem słuchawkę. Po chwili poznałem głos, który odpowiedział mi po niemiecku. Był to głos kapitana Ryszarda Maddena. Obecność Maddena w gabinecie Wiktora Runeberga oznaczała koniec moich niepokojów, a także — ale to wydawało się drugorzędne, albo przynajmniej powinno było wydawać się drugorzędne — mojego życia. Obecność ta znaczyła, że Runeberg został aresztowany albo zabity. Zanim dzisiejsze słońce zniknie na horyzoncie, spotka mnie podobny los. Madden był nieublagany. Lub raczej, musiał być nieublagany. Był Irlandczykiem na służbie angielskiej, oskarżanym nieraz o obojętność lub może o zdradę — jakżeby więc nie skorzystał i nie był losowi wdzięczny za możliwość odkrycia, pojmania, i — być może — rozsuszania dwu agentów Cesarstwa Niemieckiego? Wróciłem do mego pokoju; zamknąłem bezsensownie drzwi na klucz i wyciągnąłem się na żelaznym łóżku. Za oknem widziałem, jak zwykłe, dachy Londynu — i zamglone słońce o szóstej po południu. Wydało mi się nieprawdopodobne, aby ten dzień bez symbolów i złowróżbnych znaków był dniem mej nieuchronnej śmierci. Tak więc — mimo śmierci mego ojca, mimo dzieciństwa, jakie spędziłem w symetrycznym ogrodzie w Hai Feng — i ja także miałem teraz umrzeć? Pomyślałem później, że wszystko nam się w końcu musi zdarzyć, nieuchronnie i wspólnie. Mijają wieki, ale wszystko, co się staje, dzieje się tylko w te-razniejszości; niezliczeni ludzie na lądach, morzach i w powietrzu, wszystko, co przynosi czas, rozgrywa się naprawdę także we mnie...

Wspomnienie końskiej twarzy Maddena, prawie nie do zniesienia, przerwało moje dywagacje. Pełen nienawiści i przerażenia (dziś nie chcę już mówić o przerażeniu, choć czeka mnie niechybnie szubienica — wyprowadziłem w pole Ryszarda Maddena) myślałem, że ten hałaśliwy i szczęśliwy zapewne wojownik nie podejrzewa nawet, iż jestem w posiadaniu tajemnicy: nazwy miejsca, gdzie zgromadzono nad rzeką Ancre brytyjski park artyleryjski. Ptak przeciął szare niebo i wyobraziłem sobie machinalnie samolot, później całą gromadę samolotów (we francuskim niebie), która by zniszczyła artyleryjski park pionowymi wybuchami bomb. Gdyby tylko moje usta, zanim zostaną roztrzaskane przez kulę, mogły przekrzyczeć zgiełk wojny i przekazać wiadomość do Niemiec... Mój ludzki głos był jednak bardzo niski. Jakżeby mógł dobiec do uszu Szefa? Do uszu chorego i podłego człowieka, który o Runebergu i o mnie wiedział tylko tyle, że jesteśmy gdzieś w Staffordshire i który nadaremnie oczekiwał od nas wiadomości, przeglądając nieustannie dzienniki w swym surowym berlińskim biurze.

Powiedziałem cicho: Muszę ucie-

kać. Podniosłem się bezszelestnie, w niepotrzebnie całkowitej ciszy, jak gdyby Madden czyhał tuż na mnie za drzwiami. Coś — może tylko chęć namacalnego przekonania się, że moje środki są już żadne — kazało mi przetrząsnąć kieszenie. Znalazłem tam tylko to, co spodziewałem się znaleźć: amerykański zegarek, niklową dewizkę z kwadratową monetą, pęk kompromitujących i niepotrzebnych już kluczy do biurka Runeberga, paszport, list, który postanowiłem natychmiast zniszczyć (i którego nie zniszczyłem), koronę, dwa szylingi i kilka pensów, mój czerwono-niebieski ołówek, chusteczkę i nabytą jedną kulą rewolwer. Wziąłem go do ręki i zważyłem absurdalnie w dłoni, aby dodać sobie odwagi. Pomyślałem niejasno, że strzał z rewolweru można dosłyszeć nawet z bardzo daleka. W dziesięć minut plan był gotowy. Książka telefoniczna podała mi nazwisko jedynej osoby, która mogła przekazać wiadomość: zamieszkiwała na przedmieściu Fenton, odległym o niecałe pół godziny koleją.

Jestem tchórzem. Mówię to dzisiaj, dzisiaj, kiedy wykonałem plan, którego nikt nie uzna za ryzykowny. Wiem, że wykonanie tego planu było straszliwe. Nie zrobiłem tego dla Niemiec, o nie. Mało obchodzi mnie barbarzyński kraj, który zmusił mnie do poniżającego rzemiosła szpiega. Poza tym znam Anglika — człowieka skromnego — który jest dla mnie co najmniej tym, czym był niedługo Goethe. Nie rozmawiałem z nim dłużej niż godzinę, ale, w czasie tej godziny, był dla mnie Goethem... Zrobiłem to, ponieważ czułem, że Szef pogardza ludźmi mojej rasy — niezliczonymi przodkami, którzy łączą się we mnie. Chciałem mu udowodnić, że pogardzany może ocalić jego armie. A także — musiałem umknąć przed kapitanem... Ręce Maddena mogły zastukać, głos zawołać mnie lada chwila u drzwi. Ubrałem się cicho, powiedziałem sobie do widzenia w lustrze, zszedłem, obejrzałem bacznie ulicę i opuściłem hotel.

Dworzec był niedaleko, ale uznałem, że lepiej będzie pojechać do-rożką. Myślałem, że trudniej mnie będzie tak rozpoznać; w rzeczywistości czułem się w wydłubionej ulicy nieskończenie widocznym i bezbronny. Przypominam sobie, że kazałem dorożkarzowi zatrzymać się nieco przed głównym wejściem. Wsiadłem z celową i prawie bolesną pewnością: jechałem do osiedla Ashgrove, kupiłem jednak bilet do odleglejszej stacji. Pociąg odchodził za kilka minut, o ósmej pięćdziesiąt. Pośpieszyłem się; następny odejżdżał o dziewięć trzydziści. Na peronie nie było prawie nikogo. Przebiegłem przez wagony, przypominam sobie paru chłopów, kobiety w żałobie, młodego człowieka, który czytał z zapalem „Annale” Tacyta, rannego i szczęśliwie-

go żołnierza. Pociąg ruszył wreszcie. Mężczyzna, którego poznałem, biegł na próżno za wagonami aż do końca peronu. Był to kapitan Ryszard Madden. Przerażony, drżący skuliłem się w przeciwnym rogu ławki, z dala od groźnej szyby.

Przerażenie zmieniło się po chwili w radość — prawie obrzydliwą. Mówiłem sobie, że rozpoczął się między nami pojedynek i że wygrałem pierwszą rundę, odpierając — choćby na czterdzieści minut, choćby przez szczęśliwy traf — a-tak mego przeciwnika. Wyniosko-wałem stąd, że to skromne zwycięstwo zapowiadało zwycięstwo ostateczne. Z tego zaś wyciągnąłem znów wniosek, że zwycięstwo moje nie było wcale tak skromne, bowiem bez drogocennej różnicy czterdziestu minut byłbym już martwy, albo w więzieniu. Stąd zaś wyniosko-wałem (równie niewłaściwie), że moja radość tchórza oznaczała, iż stać mnie na szczęśliwe doprowadzenie do końca całej sprawy. W swej słabości odnalazłem siły, które mnie już nie opuściły. Przewiduję, że człowiek pogodzi się z coraz to okropniejszymi przesiewziewkami; wkrótce na świecie zostaną tylko wojownicy i bandyci; przekazuję im tę oto radę: ten, kto porzuca się na rzeczy przerażające, winien sobie zawsze wyobrazić, że już ich doko-nał, musi wyznaczyć sobie przyszłość równie nieodwołalną, co prze-szłość.

Tak też postąpiłem, podczas gdy moje oczy, oczy człowieka już mar-twego, obserwowały pilnie upływa-jący dzień — może ostatni — i o-garniającą wszystko noc. Pociąg biegł łagodnie między sosnami. Zatrzymał się jakby w pustym polu. Nikt nie zawołał nazwy stacji. Ashgrove? — spytałem dzieci na peronie. Ashgrove — usłyszałem w od-powiedzi. Wsiadłem. Lampa o-świetlała peron, ale twarze dzieci pozostawały w cieniu. Jedno zapy-tało: Idzie pan do doktora Stephena Alberta? Zanim odpowiedziałem, inne dodało: Doktor mieszka daleko, ale nie zabłądzi pan, jeśli pójdzie pan tą drogą w lewo i na każ-dym skrzyżowaniu będzie pan za-wsze skręcał w lewo. Rzuciłem im monetę (ostatnią), zszedłem w dół po kilku kamiennych schodkach i skierowałem się na pustą drogę. Schodziła łagodnie w dół, błędąc wśród łąk. Gałęzie łączyły się nade mną, niski i pzyaty księżyc zdawał mi się towarzyszyć. Przez chwilę sądziłem, że Ryszard Madden prze-niknął mój rozpaczalny plan. Zrozumiałem szybko, że to niemożliwe. Rada dziecka, abym zawsze skręcał w lewo, przypominała mi, że był to zwykły sposób dochodzenia do centralnego pola pewnych labiryntów.

Znam się nieco na labiryntach: nie na darmo jestem prawnikiem sławnego Ts’ui Pena, gubernatora Junanu. Porzucił on doczesną władzę, aby pisać powieść, która stała-by się bardziej popularna niż „Hung Lu Meng” i aby zbudować labirynt, w którym zgubiłby się wszyscy ludzie na świecie. Poświęcił trzynaście lat na te sprzeczne zamysły. Zginął wreszcie z ręki cudzoziemca. Powieść okazała się bezsensowna i nikt nie odnalazł labiryntu. Medytowałem pod angielski-mi drzewami nad tym zagubionym labiryntem: wyobrażałem go sobie na wierzchołku tajemnej góry, gdzie nie poostała dotąd stopa; pod wodą albo zgubionego wśród ryżowych pól; wyobrażałem sobie, że jest nieskończony, złożony nie z ośmiobocznych altanek i skręcających ścieżek, ale z rzek, prowincji i królestw... Myślałem o labiryncie labiryntów, arabskowanym, rozszerzającym się labiryncie, któryby obejmował przeszłość i przyszłość i w pe-wien sposób ogarniał także gwiazdy. Pograżając się w te jałowe rozważania, zapominałem o swym własnym losie ściganego człowieka. Poczulem, na nieokreśloną chwi-

lę, że pojmuje świat abstrakcyjnie i beczleśnie. Niejasny, ale pełen ukrytego życia krajobraz, księżyc, wspomnienia popołudnia wpłynęły na stan mego ducha, podobnie jak spadek terenu, który zapobiegał zmęczeniu. Wciąż był kojący i nieskończony. Ścieżka schodziła i rozwidlała się wśród zamglonych już łąk. Piskliwa i jakby sylabiczna muzyka zbliżała się i oddalała wśród podmuchów wiatru, osłabła-na odległością i listowiem. Myśla-łem, że człowiek może być wrogiem innych ludzi, ale nigdy ziemi: świe-tlików, ogrodów, potoków, zachodów.

Tymczasem doszedłem do wielkiej zardzewiałej bramy. Patrząc przez kraty rozpoznałem aleję i jak-by willę. Zrozumiałem nagle dwie rzeczy, pierwszą banalną, a drugą prawie nie do wiary: muzyka po-chodziła z willi i muzyka ta była chińska. Dlatego właśnie pogodzi-łem się z nią od razu, nie zwracając uwagi. Nie pamiętam już, czy w bramie był dzwonek czy kołatka, czy też dałem o sobie znać, klaszcząc w dłonie. Piskliwa muzyka rozbrzmie-wała dalej.

Ale z głębokiego cienia domu wy-nurzył się lampion, na który padał czasem kratkowany cień gałęzi, papierowy lampion w kształcie be-bna i o barwie księżycowej. Niosł go mężczyzna wysokiego wzrostu. Nie widziałem twarzy, bowiem oślepia-ło mnie światło. Otworzył bramę i powiedział wolno w moim ojczystym języku:

— Widzę, że czcigodny gość pra-gnie zlagodzić moją samotność. Pragnie pan zapewne zobaczyć o-gród?

— Ogród? — odparłem, zbity z tropu.

— Ogród o rozwidających się ścieżkach.

Coś nieposkromionego poruszyło się w mej świadomości i odparłem z niezrozumiałą pewnością:

— Ogród mego przodka Ts’ui Pen.

— Pańskiego przodka? Pańskiego destojnego przodka? Proszę wejść.

Wilgotna ścieżka prowadziła nas zygawkami, jak ścieżki mego dzie-ciństwa. Weszliśmy do biblioteki, pełnej wschodnich i europejskich książek. Poznałem kilka oprawnych w żółty jedwab tomów „Zgubionej Encyklopedii”, którą redagował Trzeci Cesarz Świetlistej Dynastii i której nigdy nie oddano do druku. Płyta gramofonowa kręciła się obok brązowego feniksa. Przypominam sobie także wielki dzban w stylu „różowym” i inny, wcześniejszy o kilka wieków, w kolorze błękitnym, który nasi rzemieślnicy skopiowali z dzieł perskich garniarzy...

Stephen Albert uśmiechał się, pa-trząc na mnie uważnie. Był (jak już wspominałem) bardzo wysoki. rysy miał delikatne, oczy szare, bro-dę szpakowatą. Było w nim coś z księdza i coś z marynarza; opowie-dział mi później, że był misjonar-zem w Tientsinie, „zanim zaczął się starać zostać sinologiem”.

Usiedliśmy; ja na długim i niskim tapczanie; on plecami do okna i do wielkiego okrągłego zegara. Wyli-czyłem, że ścigający mnie Madden nie może przybyć tu wcześniej niż za godzinę. Moja nieodwołalna de-cyzja mogła poczekać.

Przedziwny był zaiste los Ts’ui Pena — rzekł Stephen Albert. — Był gubernatorem swej ojczystej prowincji, biegłym w astronomii, astrologii i nieznazanym w inter-pretowaniu kanonicznych ksiąg, był znakomitym szachistą, sławnym po-età i kaligrafem. A jednak porzucił wszystko, aby ułożyć powieść i la-birynt. Porzucił rozkosze ucisku i sprawiedliwości, uczt, łoża pełnego kobiet i nawet erudycji, aby zamk-nąć się na trzynaście lat w Pałacu Przejrzystej Samotności. Po śmier-ci spadkobiercy odnaleźli tylko cha-otyczne manuskrypty. Rodzina — wie pan zapewne doskonale —



chciała rzucić w ogień; ale wykonawca testamentu — buddyjski czy taoistyczny mnich — nalegał, aby je opublikować.

— Ludzie plemienia Ts'ui Pena — odparłem — przeklinają mnicha do dziś. Publikacja książki była nonsensem. Jest to niejasny, pełen sprzeczności brulion. Badałem go niegdyś: w trzecim rozdziale bohater umiera, w czwartym jest znów żywy. Jeśli zaś idzie o drugie przedsięwzięcie Ts'ui Pena, o labirynt...

— Oto labirynt — rzekł Albert, wskazując wielkie lakowane biurko.

— Labirynt z kości stoniowej! — zawołałem. — Małutki labirynt...

— Labirynt symboli — poprawił. — Niewidoczny labirynt czasu. Mnie właśnie, angielskiemu barbarzyńcy, dane zostało odkrycie tej przejrzyśtej tajemnicy. Po przeszło stu latach nie można dokładnie odtworzyć szczegółów, ale nie trudno odgadnąć, jak się to odbyło. Ts'ui Pen powiedział prawdopodobnie pewnego dnia: *Ochodzę, aby napisać książkę. Zaś innego: Ochodzę, aby zbudować labirynt. Wszyscy wyobrazili sobie, że Ts'ui Pen postawił sobie dwa zadania; nikomu nie przyszło na myśl, że książka i labirynt stanowią jedno. Pałac Przejrzyśtej Samotności wznosił się zapewne w gąszczach dzikiego ogrodu; nasunęło to ludziom myśl, że labirynt miał być materialny. Ts'ui Pen umarł; nikt nie znalazł w jego rozległych włościach labiryntu; pomieszanie, jakie znać w jego powieści, kazało mi przypuścić, że labiryntem jest książka. Rozwiązanie zagadki umożliwiły mi dwie okoliczności. Po pierwsze, zastanawiająca legenda, według której Ts'ui Pen postanowił zbudować labirynt absolutnie nieskończony; po drugie zaś — fragment listu, który udało mi się odnaleźć.*

Albert wstał. Przez chwilę stał tyłem do mnie; otworzył szufladkę starego pozłacanego sekretarzyka. Wrócił z kartką papieru niegdyś purpurowego, dziś różowego, cienkiego i oprawionego w ramki. Sława kaligrafa, jaką się cieszył Ts'ui Pen, była w pełni usprawiedliwiona. Przeczytałem ze czcią kilka niezrozumiałych słów, które nakreślił niegdyś starannym pędzikiem członek mej rodziny: *Pozostawiam rozlicznym przyszłościom (nie wszystkim) mój ogród o rozwidlających się ścieżkach. Zwróciłem w milczeniu kartkę. Albert ciągnął:*

— Zanim jeszcze odkryłem ten list, zastanawiałem się, jak książka może być nieskończona. Nie umiałem założyć innej możliwości, niż dzieła cyklicznego i okręznego, dzieła, którego ostatnia stronica byłaby identyczna z pierwszą, tak, że powieść mogłaby trwać nieskończenie. Wspominałem także ową noc, która znajduje się w baśniach z „1001 Nocy”, kiedy to Szeherezada (dzięki zadziwiającej pomyłce kopisty) zaczyna słowo po słowie opowiadać historię 1001 Nocy, tak, że mogłaby dojść znowu do nocy, w której rozpoczęła na nowo swe opowieści, i tak bez końca. Wyobraziłem sobie również dzieło dziedziczne, przekazywane przez ojca synowi, w którym każdy nowy potomek dodawałby rozdział lub poprawił z nabożnym staraniem stronie swych przodków. Domysły te zmyliły mnie jednak; żaden nie odpowiadał, nawet w przybliżeniu, sprzecznym

rozdziałom Ts'ui Pena. Wówczas właśnie, w całkowitej niepewności, otrzymałem z Oxfordu manuskrypt, który pan oglądał. Oczywiście zatrzymałem się na zdaniu: *Pozostawiam rozlicznym przyszłościom (nie wszystkim) mój ogród o rozwidlających się ścieżkach. Zrozumiałem prawie natychmiast; ogród o rozwidlających się ścieżkach to oczywiście chaotyczna powieść; słowa rozlicznym przyszłościom (nie wszystkim) nasunęły mi myśl o rozwidleniu w czasie, nie w przestrzeni.*

Nowa pełna lektura dzieła potwierdziła te teorie. We wszystkich zmyśleniach, ilekroć staje przed autorem kilka możliwych rozwiązań, wybiera on jedno i usuwa inne; w zmyśleniach Ts'ui Pena, właściwie nie do rozwiązania, pański przodek obierał wszystkie — jednocześnie. Stwarzał w ten sposób rozliczne przyszłości, rozliczne czasy, które również mnożą się i rozwidlają. Stąd płyną sprzeczności powieści. Bohater powieści, Fang, na przykład, znalazł się w posiadaniu pewnej tajemnicy; nieznajomy stukota do drzwi; Fang postanawia go zabić. Oczywiście istnieje kilka możliwych rozwiązań: Fang może zabić intruza, intruz może zabić Fanga, obaj mogą ocalać, obaj mogą zginąć i tak dalej. W dziele Ts'ui Pena następują wszystkie rozwiązania; każde staje się punktem wyjścia dla nowych rozwidleń. Czasem ścieżki owego labiryntu zbiegają się; na przykład: pan przychodzi do mnie, ale w jednej z pańskich przeszłości jest pan moim wrogiem, a w innej — przyjacielem. Jeśli potrafi się pan pogodzić z moją wymową, której niestety nie nie doła udoskonalić, przeczytamy wspólnie kilka stron.

Twarz Alberta była w jaskrawym półkolu lampy twarzą starca, miała jednak w sobie coś niezłomnego i wiecznego. Przeczytał z powolną dokładnością dwie redakcje tego samego epicznego rozdziału. W pierwszej armia idzie do boju przez pustynne góry; wstręt przed kamieniami i cieniem sprawia, że żołnierze nie dbają o życie i odnoszą zwycięstwo. W drugiej ta sama armia, idąc do boju, przechodzi przez pałac, w których odbywa się uczta; ośniewająca bitwa wydaje się żołnierzom dalszym ciągiem uczty i odnoszą zwycięstwo. Słuchałem z należytą czcią owych starych zmyśleń, mniej może godnych podziwu, niż to, że były one dziełem mego własnego przodka i że oto rozjaśniał mi je poddany dalekiego imperium w czasie rozpaczliwej przygody na zachodniej wyspie. Przypominam sobie ostatnie słowa, powtarzające się w obu redakcjach jak tajemny rozkaz: *Tak walczyli bohaterowie, gwałtowną szpadą i spokojnym, wspaniałym sercem, pogodziwszy się z zabójstwem i śmiercią.*

Od tej chwili poczułem wokół mnie i w ciemnościach mego ciała jakby niewidoczne, niedotykane rojenie się niezliczonych możliwości. Nie rojenie się sprzecznych armii, równoległych i ostatecznie pogodzonych, ale bardziej wewnętrzny i trudniejszy do uchwycenia ruch, którego owe armie były w pewien sposób symbolem. Stephen Albert ciągnął:

— Nie sądzę, aby pański czcigodny przodek bawił się niepotrzebnie w mnożenie wariantów swej księgi. Nie uważam za prawdopodobne, a-

by poświęcił trzynaście lat na niemożliwe do ukończenia eksperymenty stylistyczne i konstrukcyjne. W pańskim kraju powieść jest gatunkiem podrzędnym; za czasów Ts'ui Pena była gatunkiem godnym pogardy. Ts'ui Pen był genialnym powieściopisarzem, ale był także twórcą, który nie uważał się wyłącznie za powieściopisarza. Świadcetwo współczesnych mówi — i jego życie całkowicie to potwierdza — o mistycznych, metafizycznych zamiłowaniach Ts'ui Pena. Spór filozoficzny zajmuje znaczną część jego powieści. Wiem, że nie byłoby problemu, który by go bardziej niepokoił i nad którymby uparcie pracował, niż niezgłębiony problem czasu. Otóż jest to *jedyny* zagadnienie, którego nie ma na stronicach „Ogródu”. Ts'ui Pen nie użył nawet ani razu słowa czas. Jak mógłby pan wytłumaczyć to celowe opuszczenie?

Zaproponowałem kilka możliwych rozwiązań; wszystkie jednak okazały się niedoskonałe. Dyskutowaliśmy chwilę; wreszcie Stephen Albert rzekł:

— Jakie jest jedyne zakazane słowo w zagadce, której tematem jest gra w szachy?

Zastanowiłem się chwilę i odparłem:

— Słowo: szach.

— Oczywiście — odparł Albert.

— Ogród o rozwidlających się ścieżkach jest ogromną zagadką czy parabolą, której tematem jest czas; oto ukryta przyczyna, dla której Ts'ui Pen zakazał sobie wymieniania jego nazwy. Pomijając zawsze pewne słowo, odwoływać się do nieścisłych przenośni i oczywistych omówień, to może najlepszy sposób, aby je wskazać. Ts'ui Pen, równie pracowity, co przemysłny, wybrał właśnie ową określną metodę. Porównałem setki manuskryptów, poprawiłem omyłki, jakie popełnili niedbali kopiści, odtworzyłem plan chaotycznego „Ogródu”, odkryłem — lub przynajmniej zdaje mi się, że odkryłem — jego właściwy porządek, wreszcie przełożyłem dzieło w całości: I stwierdziłem, że Ts'ui Pen nie użył ani razu słowa czas. Wyjaśnienie jest jasne. Ogród o rozwidlających się ścieżkach jest obrazem — niepełnym, lecz bynajmniej nie fałszywym — wszechświata takiego, jak go pojmował Ts'ui Pen. W przeciwieństwie do Newtona i Schopenhauera pański przodek nie wierzył w czas jednolity i absolutny. Wierzył, że istnieją nieskończone serie czasów, rosnące i przerażająca sieć czasów, rozbieżnych, zbieżnych i równoległych. Owa tkanina czasów, które łączą się, rozwidlają, przecinają lub nawet przez wieki o sobie nie wiedzą, obejmując wszystkie możliwości istnienia. Tak więc w większości czasów my dwaj w ogóle nie istniejemy; w niektórych pan istnieje, a ja nie; w innych znów istnieje ja, pan zaś nie ma; w innych wreszcie — istniejemy obydwa. W obecnym, który został mi przyznany przez łaskawość losu, przyszedł pan mnie odwiedzić; w jeszcze innym, przechodząc przez ogród, zastał mnie pan nieżywego; w jeszcze innym wypowiadał te słowa, ale jestem tylko widmem, złudzeniem.

— We wszystkich — wyszeptalem, i przebiegł mnie dreszcz — pragnę uczcić pańską pracę nad od-

**JORGE LUIS BORGES** — lat 56, narodowość argentyńska, zawód — dziennikarz i literat. Autor kilku niewielkich książek, złożonych z krótkich opowiadań. Borges tworzy prawie wyłącznie opowiadania fantastyczne: w jednym np. zakłada, że świat jest olbrzymią biblioteką, w innym opowiada losy człowieka, który w rzeczywistości był tylko snem innego człowieka itp. Kanwę opowiadań Borgesa stanowią na ogół żartobliwe traktowane fantazje filozoficzne. Borges łączył czasem elementy fantastyczne z chwytem noweli kryminalnej, jak w drukowanym tu obok opowiadaniu o szpiegu z czasów pierwszej wojny światowej.

tworzeniem ogrodu Ts'ui Pena i góraczko za nią panu dziękuję.

— Nie we wszystkich — odparł cicho Albert. — Czas rozwidla się nieustannie ku niezliczonym przyszłościom. W jednej z nich jestem pańskim wrogiem.

Ogarnęło mnie znów owo nieznosne uczucie, o którym już wspominałem. Wydało mi się, że wilgotny ogród, który otaczał dom, roi się w nieskończoność od tłumów niewidocznych istot. Istotami tymi byłem ja i Albert, my dwaj, tajemniczy, zakłopotani i wielokształtni w innych wymiarach czasu. Podniosłem oczy i przywidzenie rozwiła się rychło. W żółtym i czarnym ogrodzie znajdował się jeden tylko człowiek; ale człowiek ten był silny jak posąg, szedł szybko po ścieżce i był kapitanem Rysardem Maddemem.

— Przyszłość już istnieje — odparłem — ale pozostałem pańskim przyjacielem. Czy mógłbym jeszcze spojrzeć na list?

Albert wstał. Nachylił się nad sekretarzykiem, na chwilę odwrócił się do mnie plecami. Przygotowałem uprzednio rewolwer. Wystrzeliłem z niezmierną starannością; Albert zwał się na ziemię bez skargi, w okamgnieniu. Przysięgam, że skończył na miejscu: jakby poraził go grom.

To, co nastąpiło później, było nie-rzeczywiste i nic nie znaczące. Do pokoju wpadł Maddem i aresztował mnie. Zostałem skazany na śmierć przez powieszenie. Zwyciężyłem jednak — niegodnie: przekazałem Berlinowi sekretną nazwę miasta, które należało zaatakować. Zbombardowane je wczoraj; przeczytałem o tym w tych samych dziennikach, które nieco wcześniej rozgłoszyły całej Anglii zagadkową wiadomość: uczony sinolog Stephen Albert został zamordowany przez człowieka, nazwiskiem Ju Tsuna. Szef rozwiązał zagadkę. Wie, że moim zadaniem było wskazanie (poprzez zgilek wojny) miasta, które nazywa się Albert i że nie znalazłem innej możliwości, niż zamordowanie człowieka o takim nazwisku. Nie wie jednak nic — i nikt nie może wiedzieć — o moim nieskończonym zmęczeniu i wstydzie.

Na tym kończy się relacja Ju Tsuna.

**JORGE LUIS BORGES**  
Tłum.: ANIELA GORZKOWSKA  
Winieta Jerzego Skarżyńskiego

WYDAWCA INSTYTUT PRASY „CZYTELNIK”

REDAKTOR NACZELNY  
MARIAN EILE \*

DRUKARNIA NARODOWA  
PRZEDS. PASTWOWE, KRAKÓW, MANIFESTU LIPOWEGO 19

ADRES REDAKCJI: KRAKÓW, UL. MANIFESTU LIPOWEGO 19, TEL. 559-54  
PRZY ADRESIE REDAKCJI PROSIMY DODAC: KRAKÓW I SKRYTKA POCZTOWA 533  
ADRES ADMINISTRACJI: DELEGATURA RSW „PRASA”  
KRAKÓW, UL. WISŁA 2, III p. TEL. 558-62 — 588-41  
BIURO OGŁOSZEŃ I REKLAM RSW „PRASA” Kraków, Rynek Główny 46/1p. tel. 553-40

Warunki prenumeraty: Cena — kwartalnie zł 12 —, półrocznie zł 24 —, rocznie zł 48 —. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmują placówki pocztowe i listonosze tylko na wsi i w miejscowościach nie posiadających kiosków gazetowych, do dnia 10-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę, udziela Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, Al. Jerozolimskie 119, tel. 895-05. Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów, fotografii i rysunków. Za dział ogłoszeń, Redakcja nie bierze odpowiedzialności.

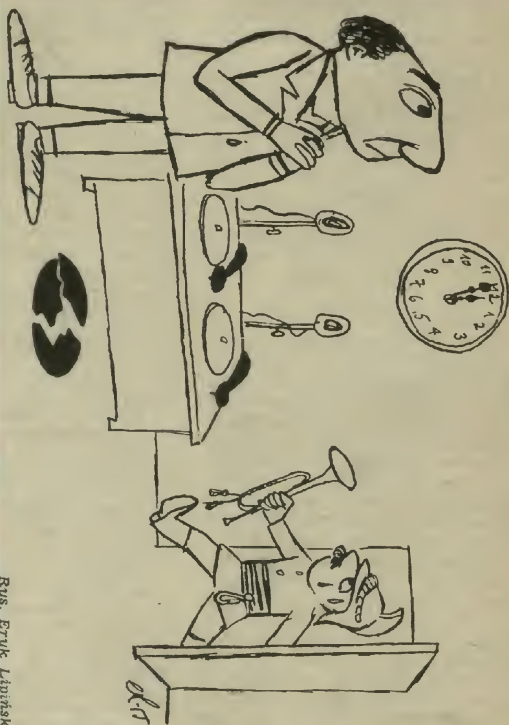
**CZYTELNIK**

M-6-4482

NUMER NINIEJSZY ODDANO DO DRUKU DNIA 14-GO GRUDNIA 1955 ROKU



# W ROZGŁOŚNI



Rys. Eryk Lipiński

## AKTYWNOŚCI Z MISZKA

1905  
24  
Grudzień

Przed pięćdziesiąt laty przed  
sięciem laty pra-  
sa donosi:

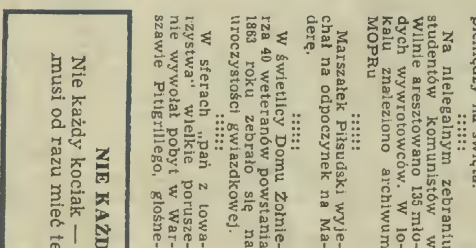
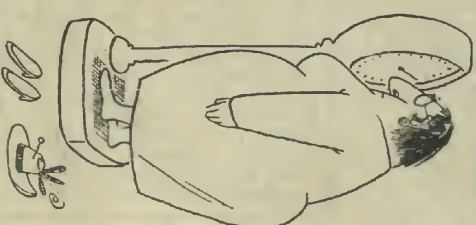
Święta upływają nam pod  
wrażeniem wypadków re-  
wolucyjnych w Moskwie.  
W dniu 19 grudnia zburzo-  
wały się tam puki taurydy-  
ki, nieświeżki, rostowski i  
wraz z cywilną ludnością  
przeszły podnośnym przez  
mironów w Kijowie zbur-  
towali się robotnicy i zol-  
nierze.

I kraj nasz otrzymał na  
gwiazdkę niespodziewany  
podarunek: Znowu przy-  
wócono 10 guberniom  
Kraju Nadwolskiego stan  
wojenny. Piąty to raz w  
tym roku powraca do nas  
ta zmoja.

W sali warszawskiej Fil-  
harmonii na jasnę odbył  
się zorganizowany przez  
Związek Nauczycielstwa  
Polskiego wiec.

Przemawiali między inny-  
mi pp. Sułkowski, Stefan  
Sempłowski, Iza Moszcze-  
ńska, delegat z Łodzi nau-  
czyciel Krecmar. Mówcy  
domagali się uspołecznienia  
szkoły.

.....  
Dziś z powodu strachu  
porozwój na furach  
poczekalni wychodzi na



**Humor włoski**  
Teatr Rozmaitości nare-  
ce zabrakł się do repertuaru  
i Józef Siłwiczko przysto-  
wuje dwie premiery go-  
nów. Będzie to sztuka  
włoska, a mianowicie „Pie-  
woski” z pamięci Tieszo-  
Kriestowa.

**Humor włoski**  
Irena i Tekla, Siemicka,  
Wojciechem Siemackim i  
inymi oraz pierwszy raz u  
nas od premiery w roku  
1791 „Powrót posła” J. U.  
Niemcewicz z Bolesławem  
Leszczyńskim, Mieczysła-  
wem Frankiem, Ludową,  
Rolandową, Pichorową i  
Owera w rolach głównych.

**Humor włoski**  
Przed dwudzi-  
siu pięćdziesiąt laty  
prasa donosi:  
Przedstawienie wyprawy  
złotocięskiej do miastek  
włoskich, siły się u  
nas już tradycyjnie. Polica  
usilnie je likwiduje, ale nie  
ma dnia niemał bez wila-  
nia. Złocięskie potrzebują  
pieniędzy na święta.

**Humor włoski**  
Na nielegalnym zebra-  
niu studentów komunistów w  
wiline aresztowano 15 mło-  
dych wytródców. W 10-  
kale znaleziono archiwum  
MOPRu.

**Humor włoski**  
Marszałek Piłsudski wyje-  
chał na odpoczynek na Ma-  
derę.

**Humor włoski**  
W świetlej Domu Zimne-  
rza 40 weteranów powoła-  
nia 1863 roku zebrało się na  
uroczystości gwiazdkowej.  
.....  
W sferach „pań z łow-  
czyzami” wielkie porusze-  
nie wywołał pobyt w War-  
szawie Pitagilego, głośne

## URZĘDOWSZCZYZNA

Powiatowy Zarząd Łęczy-  
ński w Pabianicach prze-  
stał swym abonamentem spis  
abonentów sieci telefonicz-  
nej. Na pierwszej stronie  
owego spisu podano 18  
wskazań jak należy się ob-  
chodzić z aparatem. Mie-  
dzy innymi wskazano:  
W wypadku załączenia za-  
danego abonenta otrzymasz  
w słuchawce krótkie syg-  
nały, wtedy mikrofonem po-  
dobnie jak w telefonie po-  
winięć w słuchawkę i po od-  
wrotach wyłączać.  
Ratunki!  
(Nadesłał: M. Szulc).

## NA PEWNĄ AMANTKĘ

Ojciec jej ręce  
I czterdziści kilo,  
A każdy powie:  
Ze to Wenus z Młot!  
B. BRZEZIŃSKI

## RYS. LENGEN PROF. FILUTEK



**Rób co chcesz  
OGRODNIK  
musi też**  
Ogłoszenie z nr 230 „Ilus-  
tryowanego Kuriera Pol-  
skiego”:  
OGRODNIK samouczy w  
starszym wieku przystąpił  
do spółki do małego obiek-  
tu (u starszej samotnej o-  
soby).  
Obiekt taki mały.  
Dwa ary ma na dwa.  
(Nadesłał: A. Lesmierski)

## Z zagadnień KOMUNIKACYJNYCH

„Express wieczorny” w  
artykuł poświęconym po-  
bytom naszym reprezentan-  
tów bokserskich w Helsin-  
kach, pisze:  
Drużyna polska ma pewne  
kłopoty z powrotem do kra-  
ju, gdyż we wtorek braku-  
je miejsce na samolot 14.8-  
cy z Kopenhagi do War-  
szawy.  
Mamy nadzieję, że ten sa-  
molot nie zapomni i wiożył  
kajosy. Przecież można o  
tej porze zawaze grozi ka-  
tarem.  
(Nadesłał: S. Kepa)

## MECHANIZACJA

„Głos Wielkopolski” w  
nrze 287 zamieścił ciekawą  
informację o nowych usłu-  
gach miejskich pralni w Po-  
znanu:  
Trzebanie dywanu odbywa  
się przy pomocy trzepaka  
mechanicznego i trwa tylko  
5 dni.  
Czy to co klient odbierze  
po pięciu dniach można bę-  
dzie jeszcze nazywać dywa-  
nem?  
(Nadesłał: S. Marczak)

## MYŚLI NIEREALNE WCALE

Ewo, o raju myśle niechaz.  
Drogo za jabłko płaciłas —  
Jak teraz.  
J. SZTAUDYNGER

## Na PLEBANII

„Łódzki Express Ilustro-  
wany” zamieścił w nrze 288  
następujące ogłoszenie:  
PŁACOWNICA na pleba-  
nię wiejską unięca pisać  
tub styć na maszynę po-  
trzebna.  
Albo jedno, albo drugie —  
wieczory są takie długie.  
(Nadesłał: J. Hochman)

## SPECJALISCI

W nrze 97 „Sportu” czy-  
tamy:  
Tylko narciarzy obemne  
ekspedycja olimpijska Is-  
landii. Obsada oni wazy-  
skie konkurencje alpejskie,  
a z klasycznym — biegi na  
15 i 30 km.  
Nie tylko w Islandii, u  
nas też biegi na 15-go i 30-go  
km. należą do konkurencji  
klasycznych.  
(Nadesłał: A. Slepak)

## WYSOKIEJ FIGURZE

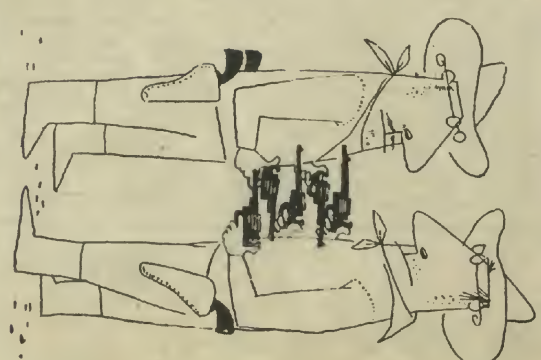
Bacz, gdy ci podają wino,  
czy czyście, czy z wazeliną.  
J. B. OZOG



## POEZJA I PROZA

Na koniec świata chciałym z tobą iść,  
ale, niesieły, mam zebrane dziś...  
L. J. KERN

## HUMOR WŁOSKI



## KUPIĆ, BYM CI...

Kupić bym ci korałe,  
gdyby nie twe morale.  
L. J. KERN